



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 9 maja 1954 r.

Nr 19 (215) Rok V

ANDRÉ WURMSER

W GRANICACH REALIZMU

List do redaktora „Nowej Kultury” Leona Przemskiego, z którym, być może, się nie zgodzi...

Adresując swój list do Redaktora „Nowej Kultury”, André Wurmser, czołowy krytyk „Lettres Françaises” wyraża powątpiewanie, czy Redaktor się z nim zgodzi... Wątpliwość czysto retoryczna; jak można nie przystać na bliski kontakt i głęboko słuszny wykład na temat realizmu krytycznego — tak jak sprawa jego wykładu w dzisiejszej kulturze francuskiej, na granicy starcia literatury mieszczańskiej i postępowej. Wurmser daje tu deklarację ideologiczną, swoje „credo” artystyczne — credo współczesnego krytyka-marxisty. Z tego względu jego artykuł, napisany specjalnie dla „Nowej Kultury”, ma szczególną wartość i cieszymy się, że jedno zdanie z naszego listu — stanowiące „prowokacyjny pyta-
nik” — dato Wurmsierowi okazało się do tak ciekawej wypowiedzi.

Rozmaite uczucia mną o-
władnęły, drogi Kolego
Przemski, gdy przeczytałem
Wasz list: radość, jaką
zwykły mi sprawiać każdy
list z Polski, wdzięczność
za słowa braterskiego uznania,
wreszcie — pewne zmieszanie. Pro-
ście mnie bowiem, abym pogawę-
dził z Waszymi czytelnikami o
„rzekomym realizmie obecnej li-
teratury mieszczańskiej”; stwierdza-
cie bowiem formalny nawrót do
realizmu w dziełach literackich,
których ideologia jest błędna i re-
akcyjna.

A zatem, moim zdaniem, drogi
Kolego Przemski... Ale (przynaj-
mniej) z początku miałem ochotę
wskazać Wam po prostu studium
o Robertie Merle, realiste mieszc-
zańskim, jakie Aragon opubliko-
wał ostatnio w „Lettres Françai-
ses”. Studium to było odpowiedzią
na artykuł pewnej studentki, komu-
nistki, która z żarem młodzień-
cowskiej miłości wyrzuciła za burtę
wszystko, cokolwiek nie służyło się
do zasad prawdziwego, autoryzo-
wanego i jedynie dopuszczalnego
realizmu.

„Realizm — pisze Aragon — nie
jest monopolem jakiejś arystokra-
cji na wywód”. Znaczący to, że nie
jest on monopolem pisarzy, będą-
cych członkami Komunistycznej
Partii Francji. „Pracować nad jego
kształtowaniem powinni wszyscy
pisarze francuscy, zwłaszcza zaś
najlepsi”. Domniemacie się, drogi
Kolego, że ci „najlepsi”, do których
apeluje Aragon, to nie najlepsi
Francuzi — najlepsi Francuzi
są komuniści — lecz najzdol-
niejsi i najbardziej doświadczeni
pisarze francuscy — bez względu
na swoją ideologię polityczną czy
też jej brak. O tych pisarzach
mówi Aragon, że są „najlepsi”,
w zależności od przygotowań organi-
zacyjnych „Domu Książki”, instytucji
ogólnie szanowanej, lecz nieco ka-
prysznej. Człowiek nie całkiem jesz-
cze nad nią zapanował, podobnie
jak nad przyrodą, toteż zawsze
gotowa jest sprawić niespodziankę
w postaci nagłej porywy czy nie-
przewidzianego urodzaju. Na ogół
ludzie już się z tym pogodzili.
Wzajemne stosunki ułożono z roz-
sądkiem i godnością, w myśl zasa-
dy: „niczemu nie należy się dziwić,
nawet mamy mocne”.

Ustalona data zwykle poprzedza
sympatyczny telefon: „Prosimy o
wzięcie udziału w kwiadransie, czy-
telnikom bardzo, bardzo zależy na
Pana podpisie, nikt z kolegów do-
tychczas nie odmówił...” Literat zja-
wia się w oznaczonej godzinie
przed wskazanym stoiskiem, cichy,
odświętny i pełen tkliwości. Jeśli
jest szczęśliwym, sadzą go na
krzeselku za stertami jego tomów,
raz i mnie się to zdarzało. Ale cza-
sami jego nadzieje powitane jest
z chłodnym zdumieniem; nieszcze-
śliwnik został źle poinformowany: nie
ma jego książki, natomiast stół
uginął się pod stosami „Przyjaciela
kierowcy”. Jeśli literat ma usposo-
bienie filozoficzne, wówczas zgodzi
się na podpisywanie tego pożytecz-
nego dziełka dla początkujących
szoferów. Posiedzi sobie parę go-
dzin w słońcu, może się trochę o-
pali, wzbudzi ludzkie współczucie...
Nie ma mowy o żadnej tragedii,
można w ten sposób miło spędzić
kwaśne przedpołudnie. Naj-

czajńskiego realizmu. Albowiem —
podkreśla Aragon — realizm nie
jest żywiołowym tworem nowych
czasów... Ma swe korzenie w prze-
szłości, w twórczości naszych wiel-
kich klasyków. „Realizm krytycz-
ny — dorzuca — jest koniecznym
szczeblem na drodze ku realizmowi
socjalistycznemu; nie mógłby on
powstać bez tamtego”.

W tym miejscu, kochany Towar-
zyszu, trafiamy w sedno rzeczy.
Bo jeśli Aragon w tym co mówi ma
rację, to czyż słusznym jest odrzu-
cać dzieła realistyczne w formie a
reakcyjne w treści, czyż słusznym
jest uważać ów realizm za pseudo-
realizm i traktować jako — pod-
stęp? Czyż słusznym jest potępiać
mieszczańskie realiste za to, że
nie wyznaje naszego światopoglądu?
Zarzucać mu, że zrobił ten decydu-
jący krok... a nie zdobył się na
drugi? „Jeżeli — mówi Aragon —
żądacie, aby patrzył na historię
naszym spojrzeniem, popelnicie
swoiste nadużycie władzy, której
nawiasem mówiąc, nie posiadacie.
Gdyby Robert Merle widział rze-
czy pod naszym kątem widzenia,
byłby konsekwentnym marksistą,
czego nie można powiedzieć o wie-
lu członkach Partii Komunistycznej.
Stawiać mu takie postulaty — to
żądać, aby był komunistą. Nie jest
nim. Znaczący to dzieł świat na
dwie kategorie: 1) komunistów, któ-
rzy jedynie są inteligentni, jedynie
odróżniają zło od dobra, jedynie
mogą uchodzić za twórców, auto-
rów arcydzieł itd., oraz 2) innych,
którzy tym wszystkim nie są. Ta
konceptja świata jest antykomuni-
styczna; nie wyznaje jej Partia Ko-
munistyczna, o ile — kończy do-
wcipnie Aragon, członek Komitetu
Centralnego Komunistycznej Partii
Francji — o ile jestem odpowiednio
w tej sprawie poinformowany”.

Ale — powiecie — czyż Aragon nie
przeżył sam sobie? Czyż można
chwalić powieść o wstecznej i myl-
nej ideologii tylko dlatego, że uży-
wa ona realistycznych środków?
Nie, drogi Kolego. Tego rzeczy-

wiście, nie można. Nie można
chwalić dzieła, które wyraża reak-
cyjną ideologię, podobnie jak jest
rzeczą niemożliwą, by reakcyjna
ideologia wyrażała się w realistycz-
nej formie.

*

Prawda, mawiał Gramsci, jest
rewolucyjna. A zatem obraz praw-
dy posiada siłę rewolucyjną nawet
wtedy, gdy jest fragmentaryczny,
gdy ocena i komentarz malarza są
błędne. Oto dlaczego realizm i sztuka
mieszczańska są dziś pojęciami
sprzecznymi.

Niegdys, owszem, godziły się z
sobą. Jeżeli jednak rozważyć po-
stawę burżuazji wobec największe-
go swego realisty, Balzaca, to
okaże się, że wrogość jej rosła z
pokolenia na pokolenie. Już za jego
życia burżuazja widziała w nim
tylko najbardziej płodnego powieści-
opisarza. Odmówiła mu skrom-
nych zaszczytów, o jakich marzył:
członkostwa Akademii, orderów,
tytułów. Dopiero długo po jego
śmierci zdecydowała się umieścić
jego dzieła w programie szkolnym.
Ale z każdym pokoleniem, z każ-
dym niemal krytykiem stosunek jej
do Balzaca staje się coraz bardziej
negatywny. Naukowa postawa Bal-
zaca (który zresztą mawiał, że
śmierci zdecydowała się umieścić
jego dzieła w programie szkolnym).
Ale z każdym pokoleniem, z każ-
dym niemal krytykiem stosunek jej
do Balzaca staje się coraz bardziej
negatywny. Naukowa postawa Bal-
zaca (który zresztą mawiał, że
śmierci zdecydowała się umieścić
jego dzieła w programie szkolnym).
Ale z każdym pokoleniem, z każ-
dym niemal krytykiem stosunek jej
do Balzaca staje się coraz bardziej
negatywny. Naukowa postawa Bal-
zaca (który zresztą mawiał, że
śmierci zdecydowała się umieścić
jego dzieła w programie szkolnym).

Niegdys burżuazja była dość pe-
wna siebie, aby móc sobie pozwo-
lić na tolerancję. Mieniła się i by-
ła stożunkowo liberalna. Wierzyła
w siłę wiedzy, chciała „obiektywiz-
mu”. Zachwalała oczywiście perfu-
mowanych poetów i psychologów
dzielących włos na czworo, ale nie
wyklinała realizmu jako takiego.

To wszystko się skończyło. Dzia-
sia, kiedy akt oskarżenia prze-
ciwko postom komunistycznym za-
czynną się od słów: „Fakty świad-
czące przeciwko panu Duclos.

I. Jego stan umysłowy”, kiedy
wstępniak w „Figaro” ma tytuł:
„Komunizm nie jest ideologią”,
kiedy rząd wydała z Ośrodku Ba-
dań Naukowych naukowców ko-
munistycznych, a do egzaminów na
wyższą uczelnię nie dopuszcza kan-
dydatów, którzy nie głoszą na
większość parlamentarną — dzisiaj
realizm stał się podejrzany poli-
tycznie. Prawda jest rewolucyjna
zawsze, ale w naszych czasach —
podwójnie. Poświęcił tej sprawie
wiele sarkastycznych uwag Aragon
w swoim „Siostrzeńcu pana Du-
val”, pastyszu „Siostrzeńca pana
Rameau” Diderota. W książce tej
Aragon wykazuje, że André Stila
aresztowano nie za jakiejkolwiek
przestępstwo, lecz za to, że otrzy-
mał Nagrodę Stalinowską czyli w
końcu za to — że jest pisarzem-re-
alistą.

Świat burżuazyjny jest dziś w ta-
kiej sytuacji, że własny obraz go
przeraża. Nie darmo pan Mauriac
przeraził się ostatnio, czytając na
nowo Balzaca. Toteż burżuazja, jej
pisarze i krytycy robią wszystko,
co możliwe, aby zgnieć realizm.
Ale ma on twarde życie. Proszę po-
patrzeć, drogi Kolego Przemski, co
się stało w malarstwie. Skromne
pobyty malarstwa abstrakcyjnego
wnet się wyczerpały. Nie jakoby
malarze wstępowali masowo do
Partii Komunistycznej. Po prostu
na jednej z wystaw obraz Fouge-
rona wznowił kierunek realistycz-
ny. Na drugiej pokazał się już szereg
obrazów realistycznych, nama-
lowanych przez malarzy komuni-
stów oraz przez sympatyków, a w
rok później mieliśmy już całą salę
realistyczną, gdzie komuniści asia-
dowali z nie-komunistami. Wreszcie
w ostatnim roku — pozostało już
zaledwie parę sal nierealistycznych.
W roku tym zarzucono słusznie
Fougeronowi, że nie posunął się
dalej, że nie uprawia alegorie oraz
kompozycyjnie beład.

Kierunek realistyczny triumfuje.
Spójrzcie na sukcesy filmów neo-
realistycznych włoskich czy reali-
stycznych francuskich. Podobnie
dogorywa literatura pornografów,
ultraanalitików, nudziarzy filozo-
ficznych, marzycieli i lunatyków.
Wyrzecz się tej literatury, znacz-
niej zająć stanowisko polityczne. Spró-
buję tę tezę udowodnić.

*

W „Table Ronde”, miesięczniku,
którego inspiratorem jest pan

François Mauriac, wydawca „Figa-
ro”, młody powieściopisarz Fran-
çois Nourissier pisał ostatnio, prze-
ciwstawiając powieść postępową —
mieszczańską: „Oto dwa kierun-
ki literackie...” Tym samym przy-
znaje, że w świecie dzisiejszym
prądy literackie odpowiadają prą-
dom politycznym i że jest ich tyl-
ko... dwa. Ale jakże określa Nou-
rissier ów „powieść burżuazyjną”?
Mówi o niej, że jest „zmumifiko-
wana, namaszczona i po bizantyjs-
ku ceremonialna”. Stawia jej
wszystkie zarzuty, postawione już
przez krytyków postępowych:
„Prawdą jest, pisze, że powieść
burżuazyjna cierpi na brak swia-
domości, że jej kryzys językowy
jest kryzysem treściowym i że je-
dynym dla niej ratunkiem byłby
nawrót do interpretacji świata
rzeczywistego” (podkreślenie Nou-
rissiera).

Innymi słowy, na lamach mie-
sięcznika, głoszącego — jak Wy
mówicie — błędną i reakcyjną ide-
ologię, występuje pisarz, który za
jedyną żywą literaturę uważa li-
teraturę postępową i realistyczną w
środkach; za literaturę zaś martwą
— „literaturę mieszczańską. Ta ostat-
nia mogłaby — jego zdaniem — je-
dynie zyskać, gdyby — jako wyraz
dla swej ideologii — obrała formę
realistyczną.

Ale forma nie da się tak łatwo
oddzielić od treści. Chciej wytłu-
maczyć świat, pokazać go, jakim
jest naprawdę — znaczy być postę-
powym mimo woli, podobnie jak
pan Jourdain pisał mimo woli pro-
zą, podobnie jak postępowym był
Balzac, nad którego grobem Wiktor
Hugo powiedział: „Czy chciał czy
nie chciał, autor tego olbrzymiego
i niezwykłego dzieła należy do
dzielnej rasy pisarzy rewolucyj-
nych”.

Przykłady można mnożyć. Wcz-
my Hervé Bazin. Z początku pi-
sał powieści czarne jak atrament,
w których naśmiewał się ochotczo
z rodziny, a których akcję umiesz-
czał w domu wariatów. Nie brak
mu ani talentu, ani temperamentu.
Ale w końcu znudziło mu się wy-
korzystywanie swego świetnego
rzemiosła dla zajęć tak zniechęca-
jących. Pewnego pięknego dnia
Hervé Bazin pisze powieść „Wstań
i idź”, gdzie apoteozuje wolę do ży-
cia osoby ułomnej. Przy sposobno-
ści bohaterka jego wyraża obrzy-
dzenie dla „czarnych” powieści w

rodzaju tych, jakie pisywał sam
Bazin.

Wzemy Roberta Merle. Dostał on
nagrodę Goncourtów za powieść
równie „czarną”, jak dawne po-
wieści Bazina: „Weekend w Zuy-
dcoote”. Kłeska Francji pod Dun-
kierką pozostawiła mu jedynie
wstręt do zabijania i wstręt do
wojny; nie odróżniał wojny spr-
awiedliwej od niesprawiedliwej. To,
że nie chciał żebym skłonił go do
analizy typu mordercy, którym w
naszych czasach jest hitlerowiec.
Robert Merle pisze powieść pt. „Je-
stem z zawodu mordercą” klinicz-
ne studium o życiu i mentalności
hitlerowca. Hitlerowca, którego
Merle — wbrew swoim postano-
wieniom — musi potępić, podobnie
jak to uczynili sędziowie warszaw-
scy. Podobnie jak ułomna bohater-
ka Bazina oderwana była od ludzi,
tak hitlerowiec Merle’a oderwany
jest od historii. To prawda. Ale
„Jestem z zawodu mordercą” gdzie
Merle przechodzi od naturalizmu
do realizmu, to książka, której pu-
blikacja nie sprawiła wielkiej przy-
jemności panu Bidault.

Wzemy Piotra Boule. Napisał
„Opowieści absurdalne”, które są
igraszkami intelektualisty. Napisał
powieść „Most nad rzeką Kwai”;
akcja jej dzieje się na Dalekim
Wschodzie, gdzie wzięty do niewoli
angielski pułkownik kierowany złe
pojętym poczuciem honoru, nie do-
puszcza do tego, aby oficerowie In-
telligence Service wysadzili w po-
wietrze most, który sam zbudował
dla armii japońskiej. Piotr Boule
nie widzi ani ruchu wyzwolenie-
czego, ani istotnych przyczyn wojen
imperialistycznych. To prawda. Ale
mimo to powieść jego jest oskar-
żeniem przeciw absurdalnej dyscypli-
nie wojskowej oraz przeciw róż-
nym złym pojęciom „punktu hono-
ru”. Jest to książka, której publi-
kacja — w chwili, gdy toczy się
wojna z Wietnamem — nie sprawi-
ła zapewne przyjemności panu
Plevenowi, ministrowi Obrony Na-
rodowej.

Jeszcze bardziej charakterystycz-
ne przykłady znajdziemy w litera-
turze Afryki Północnej. Jest rzeczą
oczywistą, że takie arcydzieło, jak
książka młodego Algierczyka Mo-
hammeda Diba „Wielki dom” opie-
ra się na doskonale znajomości ży-
cia i działających w nim sił. Jest
też rzeczą oczywistą, że słodkawa-
egzotyczna powieściłła w stylu Pio-
dokończenie na str. 6)

KAZIMIERZ BRANDYS

KORSO MANIAKÓW

WSPOMNIENIA Z TERAŹNIEJSZOŚCI

Niedzielnego przedpołudnie w
pierwszym dniu Oświaty
Książki i Prasy spędziłem
przy stoisku w Alejach
Ujazdowskich. Od paru
lat utarł się zwyczaj, że
literaci podpisują tego dnia swoje
książki. Jest to święto ruchome:
raz wypada w połowie maja, kiedy
indziej z początkiem czerwca, w
zależności od przygotowań organi-
zacyjnych „Domu Książki”, instytucji
ogólnie szanowanej, lecz nieco ka-
prysznej. Człowiek nie całkiem jesz-
cze nad nią zapanował, podobnie
jak nad przyrodą, toteż zawsze
gotowa jest sprawić niespodziankę
w postaci nagłej porywy czy nie-
przewidzianego urodzaju. Na ogół
ludzie już się z tym pogodzili.
Wzajemne stosunki ułożono z roz-
sądkiem i godnością, w myśl zasa-
dy: „niczemu nie należy się dziwić,
nawet mamy mocne”.

Ustalona data zwykle poprzedza
sympatyczny telefon: „Prosimy o
wzięcie udziału w kwiadransie, czy-
telnikom bardzo, bardzo zależy na
Pana podpisie, nikt z kolegów do-
tychczas nie odmówił...” Literat zja-
wia się w oznaczonej godzinie
przed wskazanym stoiskiem, cichy,
odświętny i pełen tkliwości. Jeśli
jest szczęśliwym, sadzą go na
krzeselku za stertami jego tomów,
raz i mnie się to zdarzało. Ale cza-
sami jego nadzieje powitane jest
z chłodnym zdumieniem; nieszcze-
śliwnik został źle poinformowany: nie
ma jego książki, natomiast stół
uginął się pod stosami „Przyjaciela
kierowcy”. Jeśli literat ma usposo-
bienie filozoficzne, wówczas zgodzi
się na podpisywanie tego pożytecz-
nego dziełka dla początkujących
szoferów. Posiedzi sobie parę go-
dzin w słońcu, może się trochę o-
pali, wzbudzi ludzkie współczucie...
Nie ma mowy o żadnej tragedii,
można w ten sposób miło spędzić
kwaśne przedpołudnie. Naj-

większym wrogiem człowieka są
fałszywe ambicje. Z chwilą gdy
staje się od nich wolny, mój Boże,
doprawdy można mu wiele zapro-
ponować. Nie zdziwi się, że ma
spędzić poranek na podpisywaniu
„Przyjaciela kierowcy”. Bo czyż
nie jest przyjacielem kierowcy? Człowiek, który się wyrzekł fałszy-
wych ambicji, jest przyjacielem
wszystkich ludzi. I podejrzewam,
że „Dom Książki” — instytucja
mądra i doświadczona — zgłębił tę
prostą w swym pięknie zagadkę.

W tym roku jakoś wszystko
szczęśliwie się złożyło. Zaproszono
nas do kiosków, wywieszono każ-
demu nad głowę karton z jego na-
zwiskiem — i czekał człowieku, na
litosićwa duszę, która kupi twój
tom i poprosi cię o podpis. Pogoda
błękitna i lśniąca, słońce mocno
przygrzewa poprzez młode, wilgot-
ne gałęzie, z daleka słychać pio-
senki nadawane przez głośnik.
Wcale nie tak, jeszcze dawno cho-
dziłem wtedy z kolegami na waga-
ry do Łazienek. Jak się czasy zmie-
niają: na lewo od mojego stoiska
podpisuje Sław Długoborski, pamiętam
go z przystanku na Śniadeckich w
miękkiej gimnazjalnej czapce z
czerwonymi wypustkami; zawsze
był z nim kłopoty w szkole. A te-
raz widzę, jak wjechał swój tom
pensionariusz z warkoczami, któ-
ra staje w pasach. Przez Aleje
przepląta gwarny, kolorowy tłum,
ileż tu ładnych twarzy, wszyscy są
weseli, jakiś brzdąc ryczy w niebo-
głos, bo zabrakło już książek
Brzechwy. Trochę mi to przypo-
mina ludowe korsy wiosenne, ty-
lko, że zamiast ukwieconych pojaz-
dów stoją ozdobne kioski z bar-
wnymi okładkami, a zamiast ślicz-
nych dziewcząt w tych pojazdach
— widzimy nasze twarze... No,
rzecz gustu.

Ale co tu ukrywać — jestem
wzruszony. Spotkanie z czytelnika-



Rys. Maja Berezowska

mi to dla autora mocne, głębokie
przeżycie. Może brak nam niewin-
nej urody, jednakże dusze mamy
teraz pełne dziewięćdziesięciu oniesmie-
lenia. Chwila, gdy czyjaś niezno-
ma ręka wyciąga się po książkę,
nad którą przesiedziało się za biur-
kiem rok czy dwa, którą pamięta
się w pierwszym surowym brulio-
nie i w pokreślonym maszynopi-
sie — to chwila lęku i ostrej radości.
Tak jakby ktoś sięgnął ci dłonią
wprost do serca po niewyschłe, je-
szcze wspomnienia.

Pisarz w momencie, gdy składa
w wydawnictwie ukończony i go-
prawiony tekst swojego tomu, roz-
staje się z nim na długi czas. Mo-
że go potem spotrzeć przypadkiem
w witrynie księgarni, lub dowie-
dzić się o jego dalszych losach z
informacji „Domu Książki”, wyka-
zujących ilość sprzedanych egzem-
plarzy. Czasem jakiś list od czytel-
nika, kiedy indziej recenzja czy
echo z terenu przywracają autorowi
na krótko poczucie ścisłego
związku między nim a książką. Ale
dni, tygodnie i miesiące, kiedy był
do niej przykuty każdą myślą, gdy
powstała linijka po linijce i
kartka za kartką z jego doświad-
czeń — te dni najmocniejszej więzi
i najgłębszych wzruszeń już nie
powracają. Tak, jak to powiedział
jeden z moich przyjaciół: „W cza-
sie pisania książki jestem jej oj-
cem i matką, a po wydaniu staje
się jej dalekim krewnym”.

Otóż dzień Kiermaszu przywraca
mi zawsze pełną świadomość tych
pierwotnych związków, jakie nas
niegdys łączyły — mnie i moje
książki. Stojąc w kiosku czuję się
tak, jakbym tu przyszedł wprost
za biurka i rozłożył przed sobą
olówek brulionu, jak gdybym
tym samym piórem, którym podpi-
suje się na egzemplarzu, postawił
przed chwilą ostatnią kropkę na
świeżym rękopisie. I kiedy mło-
dziutki kadeł kupuje tom mojego

cyklu powieściowego — w chwili,
gdy mu go wręczam, przebiega mi
przez głowę niespokojna myśl: czy
aby nie napisałem tam jakiego
glupstwa?...

2

Więc tak wyglądają czytelnicy.
Są przeważnie serdeczni i uśmiech-
nięci, zupełnie inni, niż przedsta-
wiają ich nasza krytyka literacka.
Nie robią wcale wrażeńa ponu-
rych pedantów śledzących tekst z
czerwonym ołówkiem w ręku.
Przeciwie, czują się wśród nich
jakoś bezpiecznie, rodzinnie...
Przecież ja także jestem czyteln-
kiem. Niektórzy przypominają mi
lata pierwszych namiętnych lektur,
lata urzeczeń i ogłupień pod wpły-
wem „W pustyni i w puszczy”,
„Chłopców z placu broni”, „Tarta-
rina z Tarasconu”... Proszę, wła-
śnie dwóch takich zatrzymało się
przed moim stoiskiem. Jeden chyba
dziesięcioletni, chudy i długi jak
tyczka, z groźnie potarganą czu-
pryną, w harcierskich spodniach.
Obok niego mały pataszonek, tłu-
ciutki i szczerbaty, młodszy o ja-
kieś trzy lata; co chwila zerka ku
starszemu, ażeby przybrać podobny
wyraz twarzy. Obydwaj mają miny
z lekką wyniosłością i bolesnie znu-
żone, tak jak prawdziwi męż-
czyźni o silnych namiętnościach,
ale bez groza w kieszeni.

— To jest fajna książka — mó-
wi starszy przez zęby, wskazując
jakiś tom na półce za moimi plec-
cami. — Czytałeś? Mały przeczy-
sepleniał: „nie c y t a”. — O
jednym takim, kapujesz, co służył
w pruskim wojsku. Nazywał się
Bartek Słowik. Szkopy kazali mu
się bić z Francuzami w takiej
wielkiej bitwie, sto lat temu. On
był, kapujesz, chłop w deche, nie
się nie bał. — Aha, no i co? —
grubasek palil się z ciekawości. —
No i, kapujesz — cedził surowo
(Dokończenie na str. 2)

K O R S O M A N I A K Ó W

(Dokończenie ze str. 1)

harcerz z rękami w kieszeniach — szkopcy nabili go w butelkę. Bo jak wziął do niewoli zmotoryzowaną brygadę, to się okazało, że w niej byli sami Polacy, co walczyli po stronie Francuzów. — Aha, aha! — podniecił się szczerbuc — no i co? — Spokojna głowa. On ich, kapujesz, w nocy uwolnił, dawaj w czołgi i na Szkopów. — W czołgi? — zdziwił się maly. — To już wtedy były c o ł g i? — Harcerz uśmiechnął się wyrozumiale. — Starego typu. I potem, jak rozgromili Szkopów, to francuski cesarz mianował Słowika generałem. Była tam, kapujesz, jedna dziewczyna, też Polka. Jak zobaczyła Słowika...

W tym momencie spotkał moje zaintrygowane spojrzenie i zmiał kawałek, że słucham od dłuższej chwili. Grubasek podniósł lepek zdziwiony, że akcja urwała się w tak ważnym miejscu. — Idziemy — mruknął harcerz — tu nie ma nic ciekawego... — Odeszli i widziałem, jak maly drepcę obok kolegi, zadzierając ku niemu głowę, a tamten opowiadał mu pewnie dalej historię Bartka Zwycięzcy.

Ach, wielki blagierze, niespokojny i nieoprawny duchu zmyślenia i buduj! Wiem, że nie potrafisz inaczej, nudzi cię szara rzeczywistość, zawsze w jakimś momencie poniesie cię wyobraźnia i zacznieś igać jak najęty... Ale czy można inaczej? Przecież nikogo nie chcemy oszukiwać, ani czepać z naszych buzi korzyści. Po prostu nad światem rzeczywistym przeczucamy mosty naszych własnych prawd i chcemy przekonać ludzi, aby po nich chodzili. Dlatego zmyśliłeś dalszy ciąg Bartka Zwycięzcy, maly szarlatanie w krótkich spodniach, i dorobisz na pewno tysiące zakończonych do innych prawdziwych historii, w które twój kolega będzie święcie wierzył. Wiem, wiem, przecież sam kiedyś taki byłem...

Gdybym miał, odpowiedzieć na ankietę „Jak zostałem pisarzem?” (w swoim czasie ankietę taką rozpisano Polskie Radio) musiałbym się cofnąć do mojego pierwszego dnia w gimnazjum. Miałem 9 lat, gdy zostałem uczniem klasy wstępnej i pewnego dżdżystego poranku mój brat, wówczas już czwartoklasista, zaprowadził mnie do szkoły. Zawsze byłem domatorem, lubiłem swoich ołowianych żołnierzy i nie czułem żadnej potrzeby zmieniać dotychczasowego życia. Toteż siedziałem jak na ścieście. Na domiar złego mój brat trochę się mnie wstydił i kazał mi się o dwa kroki za sobą. Miał nową teczkę, ze słynnym srebrnym monogramem, ja wlokłem się za nim z rozpaczą w sercu i z jego starym tornistrem na plecach. Kiedy kłaniał się mijanym po drodze pensjonarkom z pensji pani Prysewicz, mnie nie wolno było uchylić czapki; musiałem się zachowywać jak obcy przechodzień. Czulem niesprawiedliwość tego postępowania i moja gorczyz nie miała granic. Tak doszliśmy do szkoły. We wstępnej klasie panował nieopisany wrzask. Od razu popadłem w dziwne osłupienie i już nie pamiętam, jak minęły lekcje. Od nadmiaru nowych wrażeń całkowicie zgubiłem i tak bezapelacyjnie straciłem głowę, że gdy nauczyciel polskiego zadał na następny dzień wypracowanie „O kóźce”, nawet nie przyszło mi na myśl, że przecież trzeba je w domu napisać. Nazajutrz, jak zahypnotyzowany, znowu taszczyłem tornister o dwa kroki za bratem i znowu przekroczyłem próg gimnazjum. Oczywiście, gdy nadeszła godzina polskiego, nauczyciel wywołał moje nazwisko. Miałem przeczytać wypracowanie „O kóźce”. W klasie zalegała pełna ciekawości cza, ja zaś wstałem z ławki i otworzyłem nowiutki zeszyt w zielonej okładce z glansowanego papieru z bibułą na jedwabnym sznurczku. Do dzisiaj niebyst jasno zdaje sobie sprawę, dlaczego tak postąpiłem. Mogłem przecież się przyznać, że nie napisałem albo nie potrafiłem napisać wypracowania. Stało się jednak inaczej: zacząłem c z y t a ć wypracowanie, którego nie było. Nauczyciel nie widział z katedry pustych, białych kartek mojego zeszytu, był zresztą zajęty czyszczeniem fajki. A ja czytałem o tym, jak podczas wycieczki z moim bratem znaleźliśmy w górach małą kózkę ze złamaną nóżką i jak wzięliśmy ją do siebie. O tym, jak kózka się do nas przywiązała i jak leczył ją doktor Mogilnicki. A potem, kiedy urodził się mój młodszy braciśzek (nigdy nie miałem młodszego braciśzka) kózka zaprzęgnięta do dziecinnego wozeczka wiozła go do parku Sienkiewicza...

Cała klasa słuchała z zapartym tehem, a ja igałem jak w transie. Nie wiem, co bym jeszcze wymyślił, gdyby nie maly blondynek, Janek F., który siedział za mną w trzeciej ławce. Przypadkiem rzuciwszy okiem w mój zeszyt, zobaczył, że jest pusty. Zbaraniał, na ten widok straszliwie i wydało mu się, że w klasie dzieje się czary. Janek F. (dzisiaj pułkownik wojsk lotniczych i partyzant z czasu okupacji) nigdy nie był skarżypytą. Z początku zaskakało go zdumienie, ale kiedy spostrzegł, że obracam fajkę i czytam dalej z niekniętej strony, na której nie było literki, wówczas wrzasnął cieniem, wystraszonym głosem: „Proszę pana!

Tam nie ma nic napisane!”

Wracałem do domu z czerwonymi uszami, dzwigając w tornistrze dwie paki: jedną ze sprawowania drugą z polskiego; ojca nie wezwano do szkoły tylko dzięki wstawianictwu mojego brata, który zresztą do dzisiaj nie wie, że zamieszałem go w tę podejrzaną aferę. Później, w nocy, długo nie mogłem zasnąć. Czulem słodki, upojony smak popełnionego grzechu. Wiedziałem wprawdzie, że moja kózka nie istnieje, a przecież czulem ją w sobie. To ona odezwała się we mnie pierwsza, tak, słyszałem jej ciche beczenie, ach, słyszę je do dziś... Czy chciałem kogoś oszukać? Przenigdy! My, blagierzy i szarlatani, wymyślający historie, które się w rzeczywistości nie zdarzyły, nikogo nie chcemy nabijać w butelkę. Nad pustym, niezapisanym papierem możemy się nie raz przoz długie godziny po to tylko, aby beczenie kózki, które się w nas rozlega, jej niepokojący, czarodziejski zew, co spędza nam sen z oczu — zamienić na piękną i mądrą opowieść, której by mali chłopcy w gimnazjalnych klasach słuchali z zapartym tehem. I cóż w tym złego, powiedzcie.

To przykre i osobliwe zdarzenie uważam za początek mojej pracy pisarskiej. Zapadło mi ono tak głęboko w pamięć, że po wielu latach, kiedy na wieczorach autorskich czytałem w sali pełnej dorosłych słuchaczy fragmenty moich powieści, zawsze w jakimś momencie ogarnia mnie nieokreślona obawa, że naraz za moimi plecami rozlegnie się cienki, osłupiały głosik: „Proszę państwa! Tam nie ma nic napisane!”. Ale gdy zwierzyłem się z tego niedawno mojemu bratu, on wzruszył tylko ramionami i wytłumaczył mi, że przecież na wieczorach autorskich nie czytamy wypracowań z pustego zeszytu.

Literatura wtargnęła w nasze życie różnymi drogami. Lecz mimo iż dzieliła nas przepaść czterech gim-

niów: rozbiły go życiowe konieczności. Brat zdał maturę i pojechał do podchorążówki, ja zaś przeszedłem w tym czasie mutację i odpadły mi wszystkie kobiece role. Wtedy to stałem się zażartym czytelnikiem powieści, a jednocześnie w moje życie wdarła się nowa, potężna dziedzina, pełna rzeczywistych i urojonych postaci, zdarzeń i dramatów: Warszawa.

Nigdy sobie nie wyobrażałem Warszawy, jako syreny z mieczem. Z pierwszego pobytu w roku 1922 zapamiętałem pomnik Mickiewicza, mieszkanie mojej ciotki na Pięknej i odkryty, podobny do kawiarniany werandy tramwaj na Nowym Świecie. Wtedy, aczkolwiek cały pobyt trwał tylko trzy czy cztery dni, stałem się Warszawianinem. Miałem do tego zresztą dodatkowe prawa, ponieważ mój ojciec był uczniem gimnazjum Górskiego i w latach 1890—95 chodził co dzień na ulicę Hortensji u boku swych dwóch braci stryjecznych.

Toteż od dziecka słyszałem mnóstwo opowiadań o Warszawie. Zapadały mi w pamięć, tworząc coś w rodzaju legendarnej baśni, złożonej z autentycznych i fikcyjnych zdarzeń. Można by mnie byloraptem obudzić w nocy, a odpowiedziałbym bez namysłu, co grają w Teatrze Polskim czy Narodowym, albo których prowadzi linia tramwajowa „0”. Warszawa jak gdyby trwała wokół mnie przez długie lata, jej obraz stał się coraz bogatszy, nabierał tajemniczych uroków, zaludniał się bohaterami Prusa i Żeromskiego, którzy mieszały mi się nieraz z rzeczywistymi postaciami sławnych ludzi żyjących w stolicy. Judym, Jaracz, pani Lat-ter, Boy, Wokulski i Tuwim byli dla mnie po prostu mieszkańcami Warszawy. W szkole zaczęto mnie z czasem uważać za znawcę stołecznych spraw i często po lekcjach koledy podchodzili do mnie: „Opowiadaj-nu, jak tam w Warszawie?” Opowiadałem o Dolinie Szwajcarskiej, premierze „Cyryna de Bergerac” i o Placu Saskim —

porządą na innych, którzy w czasie dużej paury grali w koszykówkę albo w „noza”. Lektury były dla nas w tym okresie faktami o większym znaczeniu niż zdarzenia rzeczywiste i ze wstydem przyznaję, że kłopoty mojego ojca mniej mnie obchodziły niż dramatyczne powikłania w życiu Cezara Biroteau. Doszliśmy w tych lekturach do zupełnego opętania i samozatraty, ku rozpacz rodziców i nauczycieli, a zwłaszcza nauczyciela gimnastyki; ćwiczenia fizyczne bowiem uważaliśmy za rzecz niegodną intelektualistów.

Z tych czasów, kiedy pochłaniałem z zapartym tehem, często w ciągu jednej nocy, największe dzieła talentu i myśli, jakie stworzyła ludzkość — pozostało mi, prócz słabego wzroku, współczucie dla ludzi, w których życiu książka, nie jest pierwszą potrzebą. Do dziś, kiedy już rozumiem, że można być dobrym czytelnikiem i jednocześnie lubić rzut dyskiem czy kolarstwem, do dziś nie mogę jednak zrozumieć ludzi, którzy nie lubią książek. Od dawnych szkolnych lat do dni obecnych zajmowałem się rozmaitymi sprawami: sportem, filmem, polityką, pokatnym handlem dziełami sztuki, nauką prawa; kiedyś chciałem być karzełkiem, potem lekkoatletą, jeszcze później obrońcą w sprawach politycznych — i wreszcie zostałem pisarzem; z grupy zajętych czytelników w mojej klasie wyrosły dwaj wybitni ekonomiści, plastyk, znany architekt, lekarz i oficer. Ale każdy niezależnie od tego, czym się dzisiaj trudni, pozostał wierny poleźnej namietności, wszechwładnej i wspaniałej manii czytania, i nikt z nas w żadnym okresie swego życia na długo jej nie porzucił. Wystarczy, abyśmy spotkali się dziś przypadkiem na ulicy, a po kilku pierwszych okrzykach i pytaniach przechodzimy „do rzeczy”: do świeżo przeczytanych książek. Mimo że on jest znawcą gospodarczych dzieł Polski czy pułkownikiem wojsk lotniczych (jak na przykład Janek F., którego spotkałem niedawno na II Zjeździe Partii) i nie widzieliśmy się od trzech czy dwunastu lat — literatura jest naszą wspólną sprawą, tak samo jak wtedy na dziedzińcu podczas wielkiej paury.

Potrąfiliśmy o niej gadać i sprzezać się, tak jak za tamtych lat, kiedyśmy po lekcjach półtorę godzin wracali do domu, stać trzy kwadransy przed jakąś księgarnią na Nowym Świecie, dyskutując, kto był większy: Turgieniew czy Prus? Tolstoj, Balzac czy Czechow? — Wyobraź sobie, tydzień temu wzięłem z polki „Nędzników” i zaczytałem się do późnej nocy. Nad ranem żona krzyczy, żebym gasił, bo... — Bo psujesz sobie wzrok?... — odpowiadam ze współczuciem. — Jakbyś zgadł!... I że jutro o ósmej jest... — Klasówka z algebry? — Niezupełnie: konferencja w Komitecie Centralnym... Śmiejemy się prawie tak głośno jak wtedy na dziedzińcu szkolnym. Parę osób obejrzało się ze zdziwieniem; mamy długie spodnie, kapelusze i trochę siwych włosów na skroniach. — I co, zgasiłeś? — No, cóż było robić? Kapujesz? żona... — Ach, człowieku, człowieku — kiwam łokciowie głową — a od czego latarka elektryczna?

3

Która to? Pół do pierwszej? Niedługo skończy się mój dzwiz; żebym tylko nie zapomniał kupić nowego wydania „Lalki”, które wdziałem o parę kiosków dalej. Do mojego stoiska podchodzi 12-letni chłopiec z rudą czupryną i pigmami na zadartym nosku. Zaczyna wertować moje książki, nie zwracając uwagi na mnie ani na otoczenie. Z ponurą, nieufną miną bierze do ręki egzemplarz — i odkłada. To samo z następnym. Nie patrzy na mnie i najwyraźniej jest z czego niezadowolony. — Czego kolega sobie życzy? — pyta sprzedawczyni z „Domu Książki”. — „Klubu Pickwicka” — odpowiada pośpiesznie klient. — Szukam go już od godziny i nigdzie nie ma. — Poznaję go! To jeden z nas uczniaków czytających po nocach! Przyszedł tu weszły i myszkować, to przecież jego dzień, jego święto. — A możeby kolega kupił książkę tego pana? — uśmiecha się sprzedawczyni, wskazując na mnie wzrokiem. — Zamknąłem oczy, żeby nie widzieć, co się stanie. — Po czemu? — słyszę po chwili jego głos. — Sprzedawczyni wymieniła cenę. Chwila namysłu, ja przyszedłem się galeziom rosnącemu nad nami kasztanu, klient zachowuje się nieufnie; potem wyciąga z kieszeni garść pomiętych dwuzłotówek i liczy, śliniąc palce. Potem znowu się namyśla, wreszcie kładzie pieniądze na stole z miną: „No, ostatecznie...”.

Podpisuję egzemplarz, zamieniam spojrzenie, tłumaczę mu się wzrokiem z tego, że to nie ja napisałem „Klubu Pickwicka” — klient kiwa głową i odchodzi. — Do widzenia, kolego — miłośniku książek, obym ci tylko nie sprawił zawodu... — Kazimierz Brandys

Kazimierz Brandys

GYÖRGY SOMLYO PIERWSZY DZIEŃ

(1 września 1939 roku)

(Fragment poematu pt. „Wyznanie o Pokoju”)

Ludzie czytali: Znow świat w wojny ogniu. W mej drżącej dloni dziennik zaszeleści, gdy czytał straszne drukowane wieści, siedząc w tramwaju, co beztrosko niesie, tak pełen ludzi, jak barw pełna jesień, jadąc na piękną Małgorzaty Wyspę, gdzie lśnią pod niebem platany srebrzyste, niby dziewczęta drzące w chłodnej wodzie. Dziwny to dzień był, o wielkiej urodzie, gdy osiągnąwszy pór roku granice, zanim się zacznie bój na śmierć i życie, lato z jesienią tańczy coraz słodziej...

Gdzie bym nie spojżał, ludzie szli stroskani, jakby ktoś wyrok śmierci wydał na nich, a wiedząc o tym, każdy w smutku zamilkł. Żyjący w bagnie instynktów najniższych, dążący w mroki „wiecznych zasad”, wszyscy dni swe pędzili w gorączkowej kaźni i stali, niby pompejański strażnik, co już nie umknie, nie wypowie słów już; bo wie, że lawą dotrze Jón Wezuwiusz.

Ja także, patrząc w twarz idącym losom, na potop ognia czekałem jak posąg, wciągałem w płuca niby zgubny powiew najgorszą z pociech: jak sokratesowej myśli: „Choć ktoś mi zgotuje zagładę, przecież nie może zniszczyć mnie wróg żaden” — jak ten, dla kogo śmiech jest obcą sprawą, lecz i do smutku odjęto mu prawo w tych dniach, co grozą obrastały wokół, w tych nieustających złotych porach roku.

I gdy biegł tramwaj w znane i w nieznane, wiedem pomyślał, że zniścacka stanie, prąd zgaśnie, zmilknę stuk kół do ostatka, że żywe, twarze maska z gipsu zatka i wszystko wokół w kamień się obróci na tę wieść straszną, której głos nie ucił. I już ujrzałem z dali przyszłych wieków tę chwilę, którą czas ów w kamień przekuł: nogę wzniesioną, ruch w zastępych gestach, niby na filmie, co się kręcił przestaj; motorniczego dłoń wzniesioną w pustkę, wiatrem rozwianą kolorową chustkę na główce czyjejs, na zawsze niezmienią. Tego strzec będzie czas, co jest przede mną!

A tramwaj jechał ulicą szeroką, jak ktoś, co jeszcze wie — po co i dokąd... Co by się stało, gdybyś krzyknął twardo? Gdybyś pozwolił rozchylić się wargom? Słuchajcie, ludzie! Jak stał wysiadacie? Ta droga nigdzie już nie wiedzie przecież! Dokąd spieszycie? Już wasz dom — w płomieniach, i nie ma ziemi, ani dróg już nie ma! Już toru nie ma, by nim tramwaj przebiegł! Tam, dokąd jedziesz, nikt nie czeka ciebie! Znikła już radość, smutek, myśl spokojna, jest tylko wojna, tylko wojna, wojna...

Niech wszyscy ludzie kroki swe wstrzymają, na całym świecie i tu — w tym tramwaju! Niech wsie powstaną i miasta do broni! Powstańcie ludzie samotnych miliony! I ja, com stchórzył i nie wyrzekł słowa. I stańmy wszyscy razem. — Chwila owa jest już ostatnią, gdy możecie jeszcze przeciwko wojnie oddać głos złowieszczej...

Lecz nie krzyknąłem. Ani pozostali. Tylkośmy niemi, bezradni jechali. Tak, jak świat cały nie oszał się krzykiem, gdy Kondor krwawy szarpał Guernikę! Myśmy patrzyli tak, jak innych tyłu, na wrzód faszyzmu, co puchł z każdą chwilą na strasznym cielsku kapitału, ropą bluzgając wokół ponad Europą. Na ziemi Austrii rozbiegła się fala, potem jad groźny czeskie wioski zalał i parł wciąż dalej, dalej — ku Wschodowi...

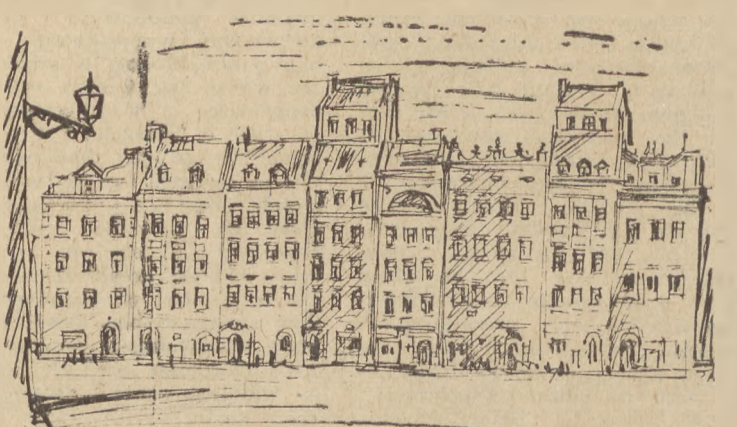
A tramwaj włókł się i dalej nas powiózł. Nie zwiśla noga przed drugim stąpnięciem. I beztłonie film się dalej kręcił. Wtłoczeni w swoje dążenia ubogie ludzie szli dalej, coraz dalej.

W ogniu.

Dłoń tramwajarza znowu drgnęła przedko, dziewczyna chustkę przysiadła ręką, a ja poszedłem na Wyspę...

A na niej szaleńcza jesień wiodła z latem taniec.

Tłum. Jerzy Ficow-ki



Rys. Antoni Uniechowski

WIKTOR WOROSZYLSKI

Drwina, tragizm, afirmacja...



W ostatnim okresie swego życia Tadeusz Borowski napisał pięć dłuższych opowiadań i pewną ilość krótszych. Zatrzymamy się na niektórych problemach, związanych z tymi pierwszymi, przostawiając na boku „Muzykę w Herzenburgu”. W pierwszej połowie roku 1950 powstały „Kłopoty pani Doroty”, po nich — „Piękne wakacje”, wreszcie w roku 1951 — „Dysputy księdza dobrodzieja” i „Czerwony Maj”. Tadeusz należał do pisarzy, stawiających sobie niezwykle wysokie wymagania, niechętnie godził się z myślą, że nie może już uczynić doskonałym tego, co napisał. Zarówno „Piękne wakacje” jak „Czerwony Maj” opatrzył skromnym podtytułem: „notatki do opowiadania”. „Dysputy księdza dobrodzieja” za życia autora w ogóle nie ujrzały światła dziennego — zresztą ten utwór jest istotnie niewykonywany, jedynie niektóre jego wątki można uważać za pełne. Tak więc rozpatrując twórczość prozatorską Borowskiego 1950 — 1951, musimy p zostawić pewien margines dla domysłów, jakim przekształceniom mogłaby ona jeszcze ulec w procesie dalszej pracy. To zastrzeżenie nie powinno zresztą hamować osądów realnie istniejących, lecz należy je mieć w polu widzenia.

Dwa zagadnienia, które nasuwają się w związku z ostatnimi opowiadaniami Borowskiego, to: zagadnienie satyry i zagadnienie pozytywnych bohaterów, albo szerzej — pozytywnego widzenia świata. Satyrę Tadeusz uprawiał już od lat. Chyba połowę jego wierszy monachijskich można bez wahania zaliczyć do tego gatunku. Znajdujemy tu zresztą nie tylko zjadliwe inwektywy i dowcipne pointy, ale i próby satyrycznego nakreślenia postaci (np. „Adaś”) czy całych sytuacji (np. „Koniec wojny”). Później — jakąś tam satyrą (w sumie chybioną) jest „Kamienny świat”. I wreszcie akcenty satyryczne mocno rozbrzmiewają prawie we wszystkich pracach Borowskiego z dziedziny krytyki i publicystyki (np. „Alicja w krainie czarów”, małe kroniki — „Czy pan jest robotnikiem?”, „Profesja pani Warren”, „Portret agenta” i in.).

Borowski zajmował się również teorią satyry. W „Problemach satyry politycznej” pisał: „Optymizm satyry — to widzenie rewolucyjnego rozwiązania nurtujących społeczeństwo sprzeczności; realizm satyry — to widzenie stosunków ludzkich o yma postępowej ideologii, to śmiałe wyrażanie dążeń szerokich mas ludowych, utrwalanie całej gamy uczuć człowieka. (...) Wykrywanie sprzeczności imperializmu, parodiowanie i zohydzenie jego urządzeń, walka z jego ideami, demaskowanie jego agentur i ukażwanie ich istotnego, makabryczno-komicznego oblicza — to zadanie satyry naszej epoki”. Jeżeli nawet stormulowania te nie wyczerpują charakterystyki satyry socjalistycznej, to niewątpliwie wyławiają jej cechy nader istotne. Pisząc to, Tadeusz oczywiście zdawał sobie sprawę, że w dawnej jego twórczości nie może być mowy ani o rozumianym jak wyżej optyzmie satyry, ani o jej realizmie. W publicystyce natomiast i prozie omawiane o okresie realizował on własne postulaty w sposób świadomy.

Opowiadanie „Kłopoty pani Doroty” — to cała galeria satyrycznych ujętych postaci wrogów klasowych. Na czoło wybija się pan Stasinek, prowincjonalny kacyk, niedoszły „działacz” w skali państwowej, złodziej i sabotażysta. Typizacja pana Stasinka została dokonana zgodnie z zasadami wielkiej satyry gogolowsko — szchedrinowskiej: główne cechy ujemne uległy wyjaskrawieniu i kondensacji, przy czym żadna z nich nie jest wyłącznie opisana i potępiona — każda odgrywa pewną rolę w rozwoju akcji, każda determinuje rozwiązanie. Ale postać, zbudowana z takich elementów, jest skompromitowana nie tylko jako wróg — to byłaby racja wystarczająca dla czytelników z góry przekonanych, satyrykowi zaś chodzi i o przekonanie innych. Kompromituje więc on swego bohatera jednocześnie i jako groźnego wroga, i jako człowieka, który kształtuje własne życie w sposób śmieszny, absurdalny. Nie, nie znaczy to, że jest głupcem — wprost przeciwnie, to ewaniki, spryciarz, „gość, który umie się urządzać”. W zderzeniu jednak z nową historią, reprezentowaną na ogół przez ludzi znacznie mniej o-

brofnych, jego spryt okazuje się nieprzodny, a nawet przynosi mu szkodę (epizod z dryllingerem). Istotę satyrycznego nakreślenia postaci pana Stasinka można ująć w ten sposób: „t hater”, jako indywiduum, jest podły ale kuty na czterech nogach — jako przedstawiciel klasy, jest podły i ograniczony jej ograniczeniem, jej nonsensownym w obliczu rewolucji stosunkiem do życia, jej zbankrutowaną moralnością. Dlatego postępuje tak jak postępuje — i dlatego skazany jest na zagładę, której ani on, ani nikt z jego sprzymierzeńców nie potrafi pojąć. Kiedy po mowie prokuratora pani Dorota zastanawia się, „czy Stasinek może wstąpić do partii, jak wyjdzie z więzienia”, a pani Ciepko gorąco potwierdza, że „na pewno”, bo „forsa zawsze robi, że wszystko jest dobrze”, to w tej groteskowej rozmowie zostaje skompromitowana nie indywidualna głupota obu dam (choćby pierwsza z nich jest rzeczywiście idiotką), ale absurdalność stosunku do życia całej klasy Stasinków, Dorot, pań Ciepko itp. Taki zamiar autorski może zresztą kryć w sobie również pewne nieporozumienie, którym byłaby dążność do wyjaśnienia odchodzącej klasie, jak bardzo jest niemądra. W pierwszej, niedrukowanej wersji Tadeusz poprzeczł „Kłopoty pani Doroty” wierszem „Ci, co się nie chcą uczyć historii”, w którym można by się dopatrzyć takiej właśnie moralizatorskiej tendencji w stosunku do burżuazji. Sam zresztą w porę połapał się, na czym polega błąd i opublikował opowiadanie bez owego poetyckiego wstępu. W samych „Kłopotach” takiego wykrywania nie ma, natomiast podwójna kompromitacja klasy środkami kompozycji satyrycznej została przeprowadzona konsekwentnie. Temu samemu celowi, co fabuła i wypowiedzi postaci, służy też cały system narracji o autorowskiej. Na ogół brak tu bezpośredniego zadeklarowanego potępienia czy wyśmiania postaci negatywnych, względnie rzadkie też są zjadliwe charakterystyki w rodzaju świetnego określenia pani Ciepko — „to osobny wybór na polskiej drodze do socjalizmu”. Najczęściej autor w sposób pozornie „obiektywny”, więcej — „współczujący” przedstawia rzekomo racje i przeżycia swoich postaci. Ale sam rodzaj owych racji i przeżyć jest taki, że — w kontekście opowiadania, w zestawieniu z racjami przeciwnymi — czytelnik nie może nie dostrzec całej ich nicości. I tylko raz pisarz bezpośrednio manifestuje swój stosunek do „sprawy Stasinka” — w ostatnim zdaniu opowiadania, oddzielnym od całości tytułem „Od Autora” i brzmiącym: „A teraz, towarzyszu prokuratorze, dawajcie następną sprawę”. To zdanie ostentacyjnie ustala właściwy wymiar przedstawionych wydarzeń, ich niewyjątkowość, perspektywę typowego rozwiązania.

Ta sama metoda satyryczna kształtuje wrogi świat w pozostałych opowiadaniach. W „Czerwonym Maju” autor znowu „obiektywnie” relacjonuje przeżycia zbiorczej i warszawskiej reakcji. Hrabia Doliński oglądany wzruszonymi oczyma żony mógłby się tak samo prezen-

tować w utworze, na serio aprobującym postawę ich obojga: „...taki śliczny był w tym mundurze, z błyszczącym srebrnym pałaszem w dłoni, na czole barwnych, surowych, marsowych huzarów carskiej lejbgwardii. Słońce złoćło jego bakenoary, igrało na epoletach, złotych guzach munduru, białych wylogach. Wydawał się promienny jak bóg wojny. Pomyślała w zachwyceniu: Mój ty książę! Mój ty książę Jóże! Pełni najdroższy!” Złowroga ironia tego obrazu zostaje wydobytą dalej, kiedy „Pepi najdroższy” dowodzi masakrą tłumy i przez nieporozumienie zabija „niezawodną, cwiżoną, słynną między kolegami ulańską ręką dziedzica spod Samosierry” — własną żonę. Tę ostatnią sytuację odczuwamy jako satyryczną, groteskową nawet, nie dlatego oczywiście, żeby nierozumne zamordowanie żony przez męża mogło być śmieszne. Rzecz w tym, że znowu w kontekście całości hrabia Toleczek i pani Tekla zostali nieodwołalnie pozbawieni prawa do tragizmu, przysługującego „obiotnicy Annie z zabitym dzieckiem na rękach. W zestawieniu z losami bohaterów i nieprzewidywalnych ofiar masakry — raczej drugiej strony są nie tylko beznadziejnie podłe tam, gdzie zaczynają działać (Hrabia), ale również małe i wstrętne tam, gdzie trwają w postaci biernych wyobrażeń (pani Tekla). Tu nie ma miejsca na tragedię, jest miejsce jedynie na ponurą groteskę, która zresztą daje w rezultacie przywdzianemu w żalobę hrabiemu awans i order. Groteska ta nie jest groteską literacką deformacją świata — jest realistycznym odzwierciedleniem tego fragmentu świata, który na inne widzenie, niż nienawistno-satyryczne, już nie zasługuje.

Kazimierz Koźniowski wspomina, jak autor nie napisanego jeszcze „Czerwonego Maja” pojechał na rozprawę morderców z Wolbromia. „W niewielkim pokoiku krakowskiego hotelu... Tadeusz co dzień wieczorem do późnej nocy wertował teczkę z biograficznymi dokumentami z życia Feliksa Dzierżyńskiego. W dzień oglądał naszych wrogów siedzących na ławie oskarżonych, demaskowanych i demaskujących się w całej ohydzie swego postępowania”. Ta równoległość zapoznawania się z materiałami, a później zapewne równoległość pisania, jest dostrzegalna w „Czerwonym Maju” i „Dysputach księdza dobrodzieja”. Sądzę, że zeknieć się o to oko z zbrodniarzami — wrogami klasowymi na ławie oskarżonych, pomógł pisarzowi stworzyć tak o krutnie wyraziście sylwetki ich antenatów z 1905 roku. Zagłębienie się zaś w materiałach rewolucji mogło mu zapewne zyskać niezbędny spokój i perspektywę wielkiej historii w spojrzeniu na tych, na których rękach jeszcze nie wyschły ślady krwi. Dlatego w „Dysputach księdza dobrodzieja” udało się Tadeuszowi Borowskiemu pohamować odruchy oburzenia moralnego — i dać tym mocniejszą, tym bardziej przekonywującą panoramę satyryczną miasteczka, w którym grasuje, kierowana przez światobliwego księdza Oborę, reakcyjna banda. Ciekawa jest ewolucja sylwetki obdane go księdza w opowiadaniach Bo-

rowskiego. W cyklu „Kamienny świat” taki ksiądz jest bohaterem opowiadania pt. „Lato w miasteczku”. Nie jest on tam jednak postacią jakoś działającą, czynną — jest migawką, mającą uosabiać perwersyjną katolicką hipokryzję, rozpatrywaną z punktu widzenia freudowskiej psychologii. W „Zabawie z wódką” mamy już do czynienia z księdzem-politykiem, walczącym o wpływy wśród zacofanych kulturalnie robotników. Ten ksiądz zostaje już skompromitowany w działaniu środkami satyry politycznej a nie psychologicznej. Wycinkowość jednak wątku fatualnego, w którym występuje, sprawia, że jest to satyra stosunkowo łagodna, bardziej kpiarska niż drugocąca. W „Pięknych wakacjach” konflikt pomiędzy proboszczem — wstępnikiem, a studentami — zetemowami, stanowiący oś tego opowiadania, został rozwinięty w czasie i akcji, autor nakreślił jego przebieg od pierwszego starcia do punktu kulminacyjnego i wyszedł jakimiś perspektywami poza ten punkt. Jawnym przedmiotem konfliktu stanowiło zderzenie faryzejskiej moralności klerykalnej ze zdrową, szczerą moralnością młodzieży; dyskretnie zaplecze konfliktu nosiło charakter społeczno-polityczny. Tym razem autor zrezygnował z pseudo-obiektywnego ironicznego dystansu i kazał narratorowi obserwować zachodzące wypadki z pozycji potępienia z ambony studentów. To nadało relacjonowanemu poczynaniom księdza większą jednoznaczność, ograniczyło jednak możliwości subtelniejszej satyry — tej która pozwala czytelnikom samym dochodzić do wniosku o kompromitacji negatywnej postaci (jak w „Kłopotach pani Doroty” czy „Czerwonym Maju”). Jak sądzić, pisarz obrał tym razem taką metodę, gdyż całą sprawę z księdzem, stojącą pozornie w centrum opowiadania, potraktował jako pomocniczą dla zobrazowania istniejących procesów w środowisku młodych antagonistów proboszcza, które darzył bardziej zasadniczym zainteresowaniem i sympatią. Te rolę aktywny duszpasterz odegrał w „Pięknych wakacjach” z powodzeniem.

Bohater „Dysput księdza dobrodzieja” należy do rodziny tych wszystkich hipokrytów w sutanach, którzy, załudniając poprzednie opowiadania Tadeusza Borowskiego, ma się jednak do nich tak jak wykończony, pełnobarwny obraz do nieśmiałych szkiców. Pisarz zdecydował się tu na stoczenie najambitniejszej batalii — nie z cząstkowymi zakłamaniami dewocyjnej moralności, nie z przeciwnymi działającymi na marginesie społeczno-politycznym, nie z partnerem tyleż ograniczonym co tchórzliwym i obłudnym, ale z typem duchownego, reprezentującego szczyty myśli teologicznej i jednocześnie szczyty zbrodni. „Ksiądz dziekan znany był w powiecie jako energiczny duszpasterz, ale w świecie katolickim wielkim poważaniem cieszyły się jego prace pisane po łacinie o to-mizmie, gdzie dowodził zgodności tożmizmu z nowymi czasami”. Ksiądz dziekan bywa w Kielcach u biskupa, wraz z nim rozważa sytuację i konieczne posunięcia. Ksiądz dziekan prowadzi wielką grę w swojej

parafii, ale tęskni „do wielkiej pracy organizacyjnej, takiej, w której mógłby rozwinąć skrzydła jak ptak, który pnie się do słońca i tylko cieni rzuca na ziemię. Może uda mu się pójść na profesora Uniwersytetu Warszawskiego, co od tak dawna ma obiecać”. Jednym słowem, ksiądz dziekan Obora — to nie byle kto, i pisarzowi nielatowo pognać go w opowiadaniu. Tadeusz Borowski zastosował tu znowu metodę wielkiej satyry, wydobytę z kontrastu pomiędzy „obiektywnym” przedstawieniem racji i przeżyć wroga, a obnażonym obrazem jego działalności. Zwroćmy uwagę na taki np. fragment:

„Proszę księdza dziekana, ja mam do księdza jedno zapytanie — rzekł nieśmiało Oblupek i pocałował księdza dziekana w mianiek.

— Mów, Oblupku — rzekł ksiądz i popatrzył z przyjemnością na otwartą, szczera, miłą, młodzieńczą twarz chłopca, studenta ekonomii, a przecież nie zarozumiałego jak to dzisiejsza młodzież, oddanego i myślnego — sprawie bożej, wytrwałego chórzysty Pana Boga, skromnego, ufnego i przystępnego często do spowiedzi”.

Cóż może być sympatyczniejszego nad ten obrazek? Ale Oblupek — to jutrzejszy morderca, a ksiądz — to ten, co da mu broni i teologicznymi argumentami z góry rozgrzeszy zbrodnicę. I w świetle tych czynów, które nie są przypadkowe, lecz logicznie wypływają z akcji, — coż może być potworniejszego nad powyższy obrazek? Jaka satyra może być dotkliwsza?

Rzecz nie polega na sprzeczności a między rzekomymi racjami bogobojnymi członków bandy a praktycznymi wynikami tych racji. Rzecz polega na tym, że racje można logicznie doprowadzić do z g o d n o ś c i z zbrodniczą praktyką. Mądry ksiądz Obora czyni to. Rozważania, które w jego ustach wkłada pisarz, istotnie stoją na poziomie „auto i łacińskich prac o to-mizmie. Z punktu widzenia scholastyki, jeżeli przyjąć pewne przesłanki, niewiele można dalszemu tokowi księgo rozumowania zarzucić. To, do czego akompaniament stanowią wyrafinowane „dysputy dobrodzieja”, a co musi doprowadzić uczono go teologa do kłeski, nie jest konsekwencją jakiegś jego głupoty osobistej, czy czegoś w tym rodzaju. Jest konsekwencją umotywowanej historycznie postawy reakcyjnej, która każe zaprzęgnąć w służbę zbrodniczej walki najprawdopodobniej myśl teologiczną, najświetniejszą ewincję zdolności działacza kościoła, najdalej sięgający autorytet instytucji, która ma być ostoją człowieczej wiary i moralności. Zwycięstwo pisarza polega na tym, że nie umniejszając żadnego z tych czynników, działających w opowiadaniu na korzyść wroga, dołaj przekonywująco unaocnić — nie przez retoryczne potępienie, ale przez wymowę akcji — ich potrojną kłeskę. Kłeskę ponosi myśl teologiczna, gdy doprowadza do „usprawiedliwionego” dzieciobójstwa. Kłeskę ponosi zaangażowany w złą sprawę autorytet kościoła, gdy doprowadza — bo musi doprowadzić! — do tychczas wiernych do utraty wiary (epizod z Irką Grabińską).

Kłeskę ponosi obrotność księdza dziekana, gdy doprowadza do jego zasłużonego aresztowania. Kiedy, zapytany o wyjaśnienia, milczy — potwierdza wszystkie trzy kłeski, myśląc już zapewne tylko o wygrzebaniu się z ostatniej — osobistej.

Wydaje mi się, że tylko dostrzegając dominującą rolę nurtu satyrycznego w opowiadaniach Tadeusza Borowskiego, można też pojąć miejsce przeciwnego mu nurtu, nazwijmy to, afirmatywnego. Rozpowszechniano o pisarzu opinię, jakoby nie był on w ogóle zdolny do innych uczuć prócz nienawiści, do innego widzenia świata prócz demaskatorskiego. Jaką to niemądra nieprawda! Tadeusz w okresie, o którym mowa, umiał pisać o ludziach z miłością i dumą, pieczołowicie odszukiwał w życiu kielki nowego, śmiałego, rewolucyjnego. Rzecz w tym tylko, że proporcje wyznaczał zamiar autorski, który w znacznej części utworów był za — rym satyrycznym. Same tytuły wskazują zresztą, w którym kierunku skierowany jest autorski reflektor: „Kłopoty pani Doroty”, „Dysputy księdza dobrodzieja”. W kompozycji tych opowiadań postacie pozytywne, piękne zresztą i ciekawe, odgrywają taką tylko rolę, jaką wyznacza im — wróćmy znow do sformułowań Borowskiego — optymizm satyry, tzn. „widzenie rewolucyjnego rozwiązania nurtujących społeczeństwo sprzeczności”, i realizm satyry, tzn. „widzenie stosunków ludzkich oczyma postępowej ideologii”, wyrażanie dążeń mas ludowych. Są to atrybuty satyry socjalistycznej, ale nie jej z a d a n i e (którym jest demaskowanie wrogich agentur i „ukazywanie ich istotnego makabryczno — komicznego oblicza”). Główne elementy kompozycji poświęcone są zadaniu satyry, poboczne — jej istotnym atrybutom. Nigdy jednak, podkreślimy jeszcze raz, pisarz nie rezygnuje w zupełności z wprowadzenia postaci pozytywnych do opowiadania i poświęcone im fragmenty pisane są z tą samą pieczołowitością, a w i r ’ s z a zapewne autorską satysfakcją, niż inne. Dotyczy to — jak ostatnio trafnie zauważono — również publicystyki Borowskiego, która ma zawsze swego bohatera pozytywnego, wydobywającego optymizm i realizm satyrycznego spojrzenia na wroga (por. np. „Kiermasz majowy”, „Niezwyczajne lato”, „Na przedpolu” i in.).

Kiedy zamiar autorski jest inny — proporcje się zmieniają. W „Muzyce w Herzenburgu” mamy do czynienia z wrogami, godnymi nienawiści i drwiny — obu tych miar udziela więc im autor sownie, ale nie czyniąc z nich bynajmniej bezosobowych kukielek, pomija ich losy indywidualnie i nie wyprowadza z tła opowieści na plan pierwszy, gdzie rozgrywały się osobiste dramaty bohaterów pozytywnych — profesora Heinricha Q. i Heinza Lohnera. W „Czerwonym Maju” walek satyryczny został zarysowany jasno, ale przecież nie dominuje on, ani nawet nie gra roli równorzędnej. Najważniejsze — i kompozycja sugeruje to — sposób n i b u d a j ą c w a t p l i w o ś c i — są losy bohaterów ludowych, świadomych proletariatu, ich cierpienie, walka, upór, nienawiść, tragizm, ich kłeski i zwycięstwa, ich rewolucyjna nadzieja. Wspaniała postać Józefa — Feliksa Dzierżyńskiego — przesuwa się od początku do końca przez kartki opowiadania, to w relacji historycznej autora, to znow widzianna oczyma przyjaciół i wrogów, to wreszcie w działaniu, w najbardziej kulinacyjnych momentach rewolucyjnej walki, stanowiącej temat „Czerwonego Maja”. Wiadomo, że Borowski zbierał materiały do wielkiej powieści o Dzierżyńskim, tego zamiaru już nie zdążył zrealizować, ale w „Czerwonym Maju”, którego nie uważał nawet za opowiadanie lecz jedynie „notatki do opowiadania”, udało mu się namalować wielkiego rewolucyjnie barwnymi najczystszy i najbardziej wyraziści, jednocześnie jako żywego człowieka i uosobienie heroizmu proletariatu polskiego.

Odmienny charakter noszą postaci pozytywne „Pięknych wakacji”. Tu nie ma tragizmu ani bohaterstwa, jest za to wiele pogody i zdrowia. Z przyjaznym uśmiechem opowiada autor o miłości Romana i Basi, o perypetiach studenckiego obozu ze złośliwym księdzem, o wakacyjnych zmartwieniach i radościach. Wszystkich tych historii nie uważa on za łahe: przecież odbija się w nich nowe życie — szczere, proste i piękne, i przecież nawet w śmiesznej scysji z proboszczem dojrzała katolicka Basia do rozumienia polityki. Tadeusz Borowski nie przestaje być w tym opowiadaniu agitatorem nowego świata; tylko że gdzie indziej agitował pośrednio z a, agitując bezpośrednio p r z e c i w a t u jest na odwrót. Obie metody — satyryczną i pozytywną — uznać musimy za równoprawne. Jedynie nierozumiennie specyfiki każdej z nich może powodować pretensje do satyry, że zbyt mało miejsca zajęła w niej przedstawiciele obozu postępu, a do utworu typu „Pięknych wakacji” — że nie docenia trudności, które piętrzy przed namu wróg klasowy.

Wiktor Woroszyński

Fragment obszerniej pracy „O Tadeuszu Borowskim, jego życiu i twórczości”, która ukazała się jako wstęp do wydania utworów zebranych Tadeusza Borowskiego, przygotowanego przez PIW.

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

Warmijskie rozmowy

K onczyl się dzień, ale było jeszcze zupełnie widno. Ziemia zachowała swoje kolory, niebo nie zbłądło po zachodzie. Dwa gliniane, holenderskie wiatrakł stojące na dwu przeciwnych wzgórzach przypominały dzbany, pękate i żółte. Po obu stronach Rynu leżał jezioro, jedno niżej, drugie na wyższym poziomie. W nich przegląda się całe miasto, wszystkie jego uroki i barwy. Może nawet nastroje miasta znajdują sobie w jeziorach odbicie. Wyjechałam stamtąd w przekonaniu, że górne jezioro napelnione jest optymizmem i radością, bije o brzeg jakby śpiewało, razi oczy blaskiem. Górne jezioro podchodzi tuż pod samą szkołę, można je widzieć z okien, a kiedy w klasie robi się cicho można posłyszec jego szum. Za to na pauzę, gdy gromada zbiega ze schodów hałasując i wrzeszcząc, jezioro niesie młodzieńczy krzyk pełen radości, przekazuje go dalszym jeziorom i łąkom, aż echo slychać w głębi boru.

Niższe jezioro tchnie melancholią i smutkiem. Tam brzozy plażujące schodzą nad samą wodę, żeby dotknąć złotymi liśćmi swojego odbicia, tam cisza panuje kojąca i pełna spokoju. Był schyłek jesiennego dnia, gdy po raz pierwszy wdziałam to jezioro. Księżyc wzeszedł i osiadł na brzozewej galezi podobny do wielkiej bańki mydlanej, ale kiedy mu się zaczęłam przyglądać, odpłynął w górę. Daleko, w śródmieściu na tle złotawego nieba sterczał kontur twierdzy. Jej ciemna sylweta zdawała się nakazywać milczenie dzieciom idącym obok nas i nam i wzgórzom okolicznym.

— Owte nase strony — mówił stary Mazur kiwając głową — musiały nie mało wycierpieć. Ledwo Hitler doszedł do władzy... jakoś... trzydziesty trzeci albo czwarty rok

musiał być... tak tedy jak do Rynu ludzi przysylać i w twierdzy przy- mykać. Do dom nikogo nie zwol- nił, tylko ciągnęli wiezie i wiezie. Myślimy — jakże ich tam pomie- ścić? Patrzeć, a tu jednego dnia. reno skoro świt, wiedzie straż gro- made więźniów nad owie dolne je- zioro, chizo z nimi za drzewa, po- tem: trach! trach! trach! — i ci- cho. Cicho, jakby nigdy nie. Jak teraz... Tło zandarmy wyszli, do miasta się wrócili. Poziadam wa- ma, skóra na mnie stępła. Wej! Widziałem wszystko. Pod ową krzywą brzozą siedziałem, łowiłem scupłoki. Aż się bałem wyleźć stamtąd. W końcu wylazłem. Ale nie poszedł prosto do dom, to za te krzaki zająłem. A tam...

Pomarszczona i zwiędła pięść starego podniosła się nad głową i drząc groziła przez chwilę.

— Wej! Tam leżeli ludzie zabici.

Policzyłem. Trzydziestu. Młodych i starych. Aż plac brął. Stałem. Zdjąłem czapkę i mówilem pacierz za umarłych.

Poszarył policzki Mazura. Wy- blakłe żrenice wyrażały beznadziejny bunt. Lekki powiew od jeziora przeganiał jego włosy. Dłonie chyb- oczące bez przerwy zdawały się być także poruszane tym powie- wem.

— Aż usłyszałem kroki. Skryłem się. Przyszli drudzy, pogrzebali. Umilkł. Wsparł się oburącz na łascie. Zwiesił głowę nisko, żeśmy tylko widzieli rozwiną kępę śnie- zystych włosów. Nikt z nas nie przerwał milczenia. Kontury twier- dzy pociemniały jeszcze bardziej. Głos Mazura zabrzmiął cicho, jak- by stłumiony oddaleniem.

— Od tych pór zawsze dzień w dzień, wczas teno było to samo. Zabijali. Dezertował, kto z hitle- rowskiego wojska uciekł. Kto się zbuntował. Kto nie chciał drugich mordować. Albo przeciwko reżimo- wi słoweczko jakie przemówił.

Wieżli do Rynu. Osadzali w twier- dzy. Zabijali. Spójrzcie na ten pa- gór. Tu jeden ogromny smertarz. Umilkł znowu patrząc rozszerezo- nymi oczyma na terasowate zbocze kurhanu porośle murawą i ocienio- ne kepmi krzewów. Ogańeło mnie zdumienie. Zawsze tak bywa, kiedy z bliska spojrzeć na sprawy nawet znane teoretycznie tylko nie utrwalone bezpośrednim przeży- ciem.

— A więc i swoich. I żołnierzy — powiedziałam w zamyśleniu.

Stary Mazur kilkakroć skinął głową. Kierownik miejscowej szko- ły patrzył na przeciwny brzeg jeziora, gdzie woda spotykała się z niebem odgradzona tylko rzędem drzew; jakby mu było trzeba szer- szej przestrzeni dla wzroku, żeby pomieścić ogrom tego, cośmy przed chwilą słyszeli. Powiedział nie zwracając się do nikogo:

— Nakłowska napisała trafnie: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”.

— Pomyśl — zaczął ktoś z kole- gów — że w wielu wypadkach to znaczyło: „Niemy — Niemcom”.

Mazur poruszył się żywo wskazu- jąc zielony kurhan.

— Tło musi się zawsze pome- nieć, które Niemce którym Niem- com. Które ludzie którym ludziom.

Zmierzech pogasił czerwone liście dzikiego wina, brzożom dodał me- lancholi przyszanianą im z jeziora wędrownę mgły. Zapłonęły świa- tła w domach. Wyszliśmy przed świetlicę. Księżyc wysunął się już nad korony drzew i pomykał mię- dzy lotnymi obłokami w górę, w przestrzeń, w ciemność. Nie było widać ani wiatraków, ani jezior. Czulał ogromne znużenie. Pół go- dziny temu stojąc na brzegu estrady szukałam w gęsto zbitej niemie- masie ludzkiej odruchu przyjaźni lub nieprzyjaźni, który by mi po- mogł znaleźć pierwsze słowa. Czar- ną gromadą stali u drzwi chłopcy

kilkunastoletni z rękami w kieszo- niach, z czapkami na głowach, roz- mawiając półgłosem, jakby nie o- czekiwali niczych słów. Wtedy to spostrzegłam, że pod oknem siedzi człowiek wychylony do przodu, w pozie takiej, jakby na żywce bojs- ka czekał na znak do biegu. Był młody, przykuwał wzrok widocz- nym napięciem uwagi, ciekawością, zasluchaniem. Oczy jego zdawały się cierne od myśli i pytań. Za- częłam opowiadać prosto, najpro- cieiej jak umiałam często patrząc w ten kąat sli, gdzie siedział ów nie- znany słuchacz. Tak było pół go- dziny temu.

Teraz ludzie wychodzili przesu- wając się obok nas ciemnymi gru- pami, znikali w gęstej mgły. Wra- cali do swoich spraw. Opadły mnie hurmem wątpliwości jak zawsze w chwilach znużenia. Czy warto? Czy to potrzebne? Czy pozostawiamy tu jakiś ślad?

W smudze światła stanęła dwu- nastoletnia dziewczynka, z jej po- liczków zdawał się biec pożar gorą- ca i zawstydzenia. Cicho, żeby nikt z mieszkańców Rynu nie dosłyszał, pytała, gdzie wysłać wiersze, jeżeli się pragnie wiedzieć, czy są dobre. Bo pewna koleżanka właśnie prze- stała pisać... wątpi o swoim talen- cie. Z łuny podchodzącej pod sa- me oczy młej można było bez urudu zgadnąć, że p e w n a k o l e z a n k a i a k o w a ł n i e stoi przed nami... Potem syn polskiego górnika przybitego z Francji mo- wił nam, że chciałby zostać tłu- maczem. Prosił o radę, jak się do tego przygotować. Sala pustoszała. Wychodzili już ostatni. Wsiadali szybko w ciemność, z której wiatr niosł urrewające tchnienie jezior i monotonny, cichy szum.

Nagle kierownik szkoły d t k n g l mojego ramienia.

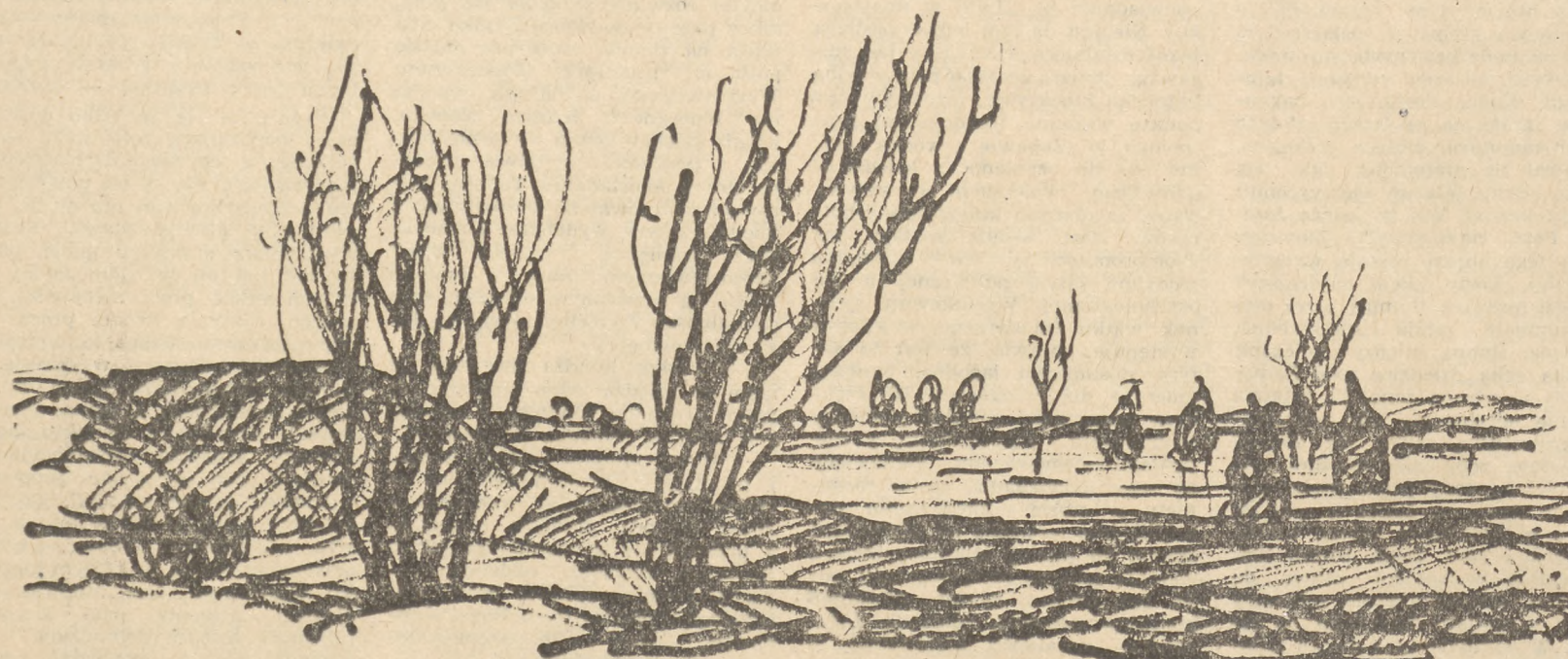
— Proszę spojrzeć.

(Dokończenie na str. 7)

JAN SPIEWAK

PIEŚŃ O NAUCZYCIELU

Stefanowi Gołębiowskiemu



I

Gdzie brzeg pochylony jest i śliski,
Gdzie jednostajny szum szuwarów,
Gdzie ościężały przelot mgły
Nad rzeką chwiejną i ścierniskiem,
Gdzie łąka czołga się i parów,
Gdzie chrząst kaskiwy jest i zły...

Gdzie dzika kaczka skrzydłem dzwoni,
Gdzie komar kłuje żądłem ostrym,
Gdzie kregi stoja ślepych łusk,
Gdzie rdzawy szewar nad wodą plonie,
Gdzie żabi wzrok, zielone osty,
Gdzie chłopot, bulgot, wiatru plusk...

Tam urodziłem się. Tam lata
Z mokradel unosiły grząskich
Garbate szczęście, ludzki los.
I mijal czas i z ziemią bratał
Jak liści kształt i rzeń gałzki
Jednoczy śmiech i ciężar trosk.

Tam urodziłem się. Rumień!
Rozstaje jeszcze głóg różowy
I oczy chałup wiedzie w głąb
Biegających obok pół strumieni.
Tam zasłuchany w cieni surowy
Szerokopienny milczy dąb.

A wilgoć szła. Niepostrzeżenie
Moczały podchodzili bliżej.
Nieraz słyszałem obok krok
Trawy wlokącej krzak, kamienie.
Niebo schylało się wciąż niżej.
I tak za rokiem mijal rok.

Wilgoć oddech sny przecinał,
Z pulapu zbliżał się i prażył,
Do gardła czulem spadnie wnet.
I osaczała woda sina,
I kładła dłonie swe na twarzy,
I wykrzywała ręce, grzbiet.

Nieraz rzucałem swoją ziemię
I chciało się na zawsze odejść
Do białych domów smukłych mias
Jak chmura, która ogniem drzewu
Tak moja niespokojna młodość
Kazała iść, gdzie trzcina, chwast.

Marzyły mi się własne strony,
Lecz niecierpliwy odchodziłem.
Gdzie mnie niepokój ślepy wiodł.
O nieopatrzny! O szalony!
Brzegami krętych dróg blądziłem,
Poznawszy inną nędzę — głód.

Powrócić chciałem tam, gdzie rostem,
Nie czułem rozmarzonym chłopcem,
(Ach gdybym takim wrócić mógł).
Bo coż na wioskę wtedy niosłem?
Na łąkach grzęzły wątle kopce
I miaskał stukot bosych nóg.

Chciałem dopomóc słowem prostym.
By ziemię moje kłtowie grały,
Ouchę niosąc, dobrą wieść.
Lecz zanim jeszcze żar nie ostygł
Dłonie bezwolnie opadały.
I gdzież wygrzebać miałem pieśń?

Nie raz widziałem we śnie mury,
Pokoje schludne, rzędy ławek
I jasných główek śpiwiny las,
Nie było szkoły na wsi, chmury
Dymity szorstką mgłą, chropawę,
W szuwarach tonął dzień i gasł.

A potem wojna. Ileż razy
Myślałem — dom ubogi pognie,
Osaczał go złowrogi szczęk.
O miasta, miasta, strone lasy!
O czołg w świst! O armat ogień!
O jasek i męźnych jęki!



Rysunki Wiesława Majchrzaka

II

Granat i czujność, kula i troska.
Ziemia bandoska, ziemia bandoska.

Łąka zrudiła, dymy i zgłiszca.
W pierś wroga wyszrał! W pierś wroga wyszrał!

Trawy są czujką, schronem moczały.
W ziemi się zarył! W ziemi się zarył!

Podstęp sierpami! Strach nie omota!
Cisza się otocz! Liśmi się otocz!

Gniewem dostojnym burzy się włoska.
Ziemia bandoska, ziemia bandoska.

III

A ja pieśń zwierzając się nie raz.
Taka chęć gorąca brała, szczerą.

Celną kulą bronieć się od śmierci.
Już do ziemi schylony w trzy ówierci.

Już tak nisko przed siebie patrzący.
Z takim trudem po ziemi idący.

Dokąd z pieśnią wyjść mi z domu?
— Ach komuż będę potrzebny, komu?

IV

Od szuwarów szmer, noc się czerni.
I w parowach błysk, słowa gasną.
A zza płotów pieśń jarów, ściernisk.
Moja, własna?

Plucze liście drzew potok dolin.
Bije chałup ton, świergot plaka.
Ziemio! — śpiewa głos. Serce boli.
Skąd taka!

Ścieka wilgoć łąk. Płomień błyska.
Dookoła krok. Ktoś zuchwalce?
I w stodolach pieśń, w rozsypankach.
Ludzie, walczcie!

V

Sypie śnieg. Sypie śnieg. Tygodniami pada.
Szumi wiatr. Świszcze wiatr. Szuwarami skrzypi.
Jesiń myślisz — ślad, grząski własny ślad gada.
Noc zasypie.

Nie sprowadzi, nie zawiedzie na manowce,
Poprzez łąki wprost wiodą nogi ścieżkami.
Kadzi krzak, każdy płot mówi. Swoje. Obce.
Egzamin.

W kurnej chacie gwar. Przyszli. Już czekają.
Uczniów sześć. Inni dotąd w zaspach brodzą.
Nad książkami błysk. Brwi ściągają.
Palcem wodzą.

Oj ty noko, noko czarna i śródpelna.
Oj ty chłopski łbie hartowany bałogiem.
Będzie, będzie jeszcze ziemia nasza wolna.
Buchnie ogień.

VI

Gasł śnieg, gasł deszcz, gasła trawa.
Biegła wiosna, zima, jesień.
Oj gwarzyła woda rdzawa!
Oj niejedną gałąź niosł się!

I w niejednym gniew się burzy,
Karabinek nocą czuści.
Nie wytrzymać wróg tu dłużej!
Oj odcjda stąd faszyści!

VII

Ziemię ty moja bombami porzyła.
Ziemię tylekroć głodem smagana.
Z burzy się rodzi Rzeczpospolita.
Ziemię ty moja, ziemię kochana.

Ziemię nizinna, ziemię górzysta.
Ziemię w obłokach nisko lecąca.
Ziemię, jak źródło, wartka, przejrzysta,
Ziemię w okopach chęliwie stygnaćca.

Ziemię błękitem w rzekach ubrana.
Ziemię człapiącą w kurzu i pyłe.
Ziemię jak gołąb, ziemię jak rana.
Ziemię — w ugorach wyschle badyle.

Kto ciebie ziemię pieśnią wypowie,
Jakim cię sercem trzeba ogarnąć?
Ziemię jak iskra, co drga u powiek.
Ziemię ojczysta. Ty ziemię czarna.

VIII

Piastunko czuła moich lat dojrzałych,
Przyjaćiel marzeń mych troskliwy.
Z tej wojny przypadkiem ocalały
Zgarbiony jestem nisko, ale żywy.

I mówię tak jak niegdyś, bardzo wolno,
Byś mogła poznać czuciem myśli moje.
Za oknem turkot biegnie droga polna.
Południe już. Jesteśmy znów we dwoje.

I

Chłopi umierali po dwóch
po trzech latach i rzadko
się zdarzało, aby który z
nich pożył dłużej. W wa-
runkach więziennych naj-
dłużej żyli robot-
nicy. W więzieniu karnym, w któ-
rym przebywali sami komuniści,
spokalem towarzysza przebywają-
cego w jednej i tej samej celi o-
siem lat. Pierwszy rok przesiedział
w swoim miescie rodzinnym, po
wyroku przewiezli go do K. Gdy
go poznałem, miał przed sobą jesz-
cze jeden rok — dziesiąty.

My, robotnicy, przywykliśmy do
murów. Żyliśmy w kamiennych
miastach i nie znaliśmy innego
krajobrazu. Las zwiewna, ciemną
linią czernił się na horyzoncie, ale
gdy podchodziliśmy bliżej okazało
się, że tam tkwiły przetrzebione
jakieś resztki zagajników, które
nigdy nie były lasem. Łąki pod-
miejskie leżały pod dymem fabryk
i pachniały rdzą, kwasami. Rzecz-
ka wijąca się pośród tych łąk była
żółtawej barwy, jak zbełtana
wodą glina. Gdy wody stawały się
czystsze, wiedziliśmy, że górniczy
strajkują. Żółta woda zostawała w
kopalin, pompy nie wyciągały jej.
Mizerny, lichy lasów w goimczym
zagłębiu, skąd pochodzę, nazywał
się: Zielona. Żeby przynajmniej z
nazwy przypominał przyrodę, która
przez znaczną część roku jest tej
własnie barwy. Marzyliśmy o łą-
kach, lasach, rzekach.

Chłopów zabijali nie tylko mu-
ry: zabijała ich nostalgia, obrzydła
tęsknota, która nekła powoli, u-
porczywie, jak ćmiący ból. Niby nie
wielkiego, a nie pozwalała zapomi-
nać o sobie. Tym jest właśnie tę-
sknota: nie możesz zapomnieć. Ona
dodawała otuchy naszym towarzy-
szom w więzieniach, ona wspierała
myśl naszych żołnierzy, gdy w u-
porczywym marszu szli do kraju
znad Oki. Ujrzyć Wisłę! Ujrzyć mia-
sto, w którym się urodziłeś! Ujrzyć
wies rodzinny!

Tęsknota! Myśmy się kiedyś
wstydzili przyznać do tego, że tę-
sknimy, bo to nie było — rzekomo
— godne nas, komunistów. A to
nieprawda. Czymże jest w gruncie
rzeczy marzenie, jeśli nie stopem
tęsknoty i wymagowanego obra-
zu szczęśliwości ludzkiej? A od kie-
dyż to komuniści nie marzą? Czy
przestałeś marzyć o owej chwili,
gdy na kuli ziemskiej nie będzie
już śladu niewoli, ucisku, bezpra-
wia, groźby wojny?

Tęsknotę usiłovali zabijać wy-
robniczy bzdurny piosenek, wy-
twórcy tego niematerialnego dobra,
jakim jest pieśń: ubierali ten stan
uczuć i umysłów w pistoletate
barwne stroje i puszczali na śnieg,
na morza, w kraje odległe na sa-
motniczy, suchotniczy żywot. Dla
lamtych tęsknota była czymś co
graniczyło z egzotyką i wymyślo-
nością. Czy możesz tęsknić za Saha-
rą, której nie widziałeś nigdy? A
czy możesz zapomnieć rzeczkę, nad
którą wyrosłeś, miasto, w którym
walczyłeś, dom, który ci dawał
schronienie w czasie pościgu, ko-
bieta, która szła obok ciebie wier-
nie w czas niedoli?

Lecz, czymże jest tęsknota, o któ-
rej mówiłem przed chwilą, w po-
równaniu z tęsknotą chłopca, który
dostarczał za oknem więziennym
daleko, daleko za murem polu wio-
senne, chłopca idącego za plugiem
łan rozkołysanego zboża? Przywarił
do kraty i patrzył, patrzył...

Najgorzej było wiosną i strach
było spojrzeć na tych towarzyszy.
Rwali się do krat, do okien, wspi-
nali wysoko, by rzucić okiem za
mur, w przestrzeń, w której rodzi-
ły się pierwsze barwy, pierwsze
głosy, pierwsze zapachy wiosny. W
jednym z więzień siedział z nami
chłop, towarzyszył niskiego wzrostu.
Gdy nadchodziła wiosna, dważ po-
śród nas brali go pod pachy i uno-
sząc mocą swych ramion przybliża-
li jego twarz do kraty. Gdy opu-
szczali go, ukazywał oblicze pobla-
dłe i skurzone, jak od bólu. Mó-
wił szepcąc: już orzą... Tam już o-
rzą...

Wiosną nauka nie szła tym to-
warzyszom, byli oświatli, stawali
się mruklami, lub skorzy do sprze-
czek i wybuchów. Nie jadali, nie
spali. O chłodnym przedświecie ży-
wali się z przycy i stajając boso
po kamiennej posadzce podchodzi-
li ku oknu. — Już? pytał ten, dla
którego nie było więcej miejsca
przy okienku. — Już — odpowia-
dali łamci i nie wiadomo było co to
„już” oznacza. Czy to, że słońce już
wzeszło, czy też, że ujrzyli za ok-
nem człowieka, uwijającego się na
polu.

Więzienia u nas są stare, bardzo
stare. Powiedziałbym tradycyjne.
Najstarsze budowle w naszym kra-
ju to pałace, kościoły, karczmy i
więzienia. Pałace budowali na roz-
ległych równinach — wszystkie
drogi wiodły do nich a i tymi dro-
gami można było wypadać na mia-
sta, miasteczka, majątki. Kościoły
królowały nad okolicą, budowano
je na wzgórzach, głos dzwonów
płynął daleko, daleko. Przywielecin
karczmy były drogi rozstajne, „na-
gatką”, u których zbiegały się szlaki
pieszych i jezdnych. A więzienia
budowano za miastem, poza obrę-
bem osiedli ludzkich, daleko od
drog, pałaców, kościołów, jak naj-
dalej od ludzi. Ale tak było do cza-
su.

Gdy się rozpoczął rozrost miast,
gwałtownie i szybko, powstające
dzielnie wchłaniały, wciągały w
swoje rejony budynki sterczące do
tej pory na odludziu. Domy wyra-
stały wzdłuż nowych szlaków, które
wiodły od powstającej właśnie
fabryki ku dworcowi niepozornemu
i ciastnemu do niedawna. Teraz
rzutowano nowe trasy, szosy, toru
i tak odnajdywano więzienie w

środku miasta, wśród ruchliwych
ulic, w gwarze, który dochodził do
więzień jak szum nieustanny,
odległy ale wyraźny. Obecność wię-
zienia w śródmieściu uzupełniała
nowe oblicze kapitalistycznego na-
sta: ono było równie potrzebne co
nowe zakłady fabryczne. Bez wię-
zień nie utrzymaliby robotników w
posłuchu. Tkwiły więc na wpół
pałaców, fabryk, czasami jak groź-
ba, czasami jako kojący przejaw
siły i przemocy. W miescie P. po-
dwórce więzienia zamyka jedną
swą ścianą — mur kościoła. Gdy
dzwony były, spacerujących wię-
zień owiewał wicher rozkołysa-
nych dzwonów.

Tak się działo w wielkich ośrod-
kach przemysłowych. Inaczej w
miastach, które jakoś rozrastały się,
ale nie w takim stopniu, by nowo-
wznoszone dzielnie pochłaniały
gmachy kwitący od lat na astronu-
d. W małych miastach więzienia cią-
gle stały na uboczu, daleko od o-
siedli.

Ale te właśnie więzienia okazały
się bardzo atrakcyjne dla naszej
burżuazji. W dużych miastach wię-
zienia otoczone domami mieszka-
nymi, fabrykami, stawały się czę-
ściej miejscem zbiegowisk, zwa-
szcza w czasie strajków głodowców
i demonstracji. Zaczęło więc nas
przerzucać z dużych miast do
mniejszych, do gmachów oddala-
nych od ulic, skwerów, placów. Tu
nasze krzyki mogły nikogo nie bu-
dzić nocą, a nasz spiew rozlegał się
daleko w pustkowiu.

Miasta, o których mówię, wege-
towały. Lata miały tam sennie, a
podziemne wstrząsy przebiegały
tamtę organizmy skrycie, tajemnie.
Złorzeczenia zastępowały protesty,
oburzenie — pragnienie walki, go-
rycz — porwy. Iam nie było pro-
letariatu, ale były marzenia i pra-
gnienia. I tam przypuszczam, stras-
zono kradnących i wapiących wi-
dokiem gmachu, w którym przy-
byłaliśmy my — robotnicy i chłopci,
członkowie partii.

Czy mieszkańcy miasta K., o
którym mówię, mogli dosłyszeć nasz
spiew, nasze okrzyki, gdy straż
więzienna wlokła nas za nogi ku
pojedynczym celom, a nasze głowy,
odbijając się o śtopnie głucho
dudniły w czełusci wąskiej klatki
senodowej?

2

Więzienie w K. stało za miastem,
daleko od skupionych osiedli ludz-
kich. Jedna ściana ponurego gma-
chu wychodziła na tę właśnie stronę,
gdzie spoczywały sennie miasto
i towarzysze siedzący za oknami
tej części więzienia widzieli w od-
ległych uliczkach krzątających się
ludzi, przechodniów. Mogli do-
strzec fragment ry. ku, domki z
podcieniami, część ulicy wiodącej
od dworca ku śródmieściu. Inną
ścianą — ślepa, pozbawiona okien,
zamykała głucho budynek: ściana
przeciwległa, o jednym oknie na
każdym piętrze, stanowiła zakoń-
czenie korytarza. Cztery bok wię-
zienia zwrócony był ku polom i
rzecz o stronach, urwistych brze-
gach. Woda była tam bystra, rwą-
ca. Gdy przybyłem do K., na po-
lach widocznych z okien cel, stało
kilka mizernych domków, poro-
zrzuconych tu i ówdzie. Obserwując
ich układ w żaden sposób nie mo-
żna było doszukać się zarysu ja-
kieś przeszłej uliczki, czy trasy
wytężającej drogę wśród tych bu-
dynków. Mieszkali tam najpewniej
jacyś wyrobniczy, którzy pracowali
częściowo w miescie, częściowo je-
szcze na roli.

Ale nie zawsze tak było w pobli-
żu widocznym z naszych okien.
Kiedyś widok tam był inny, nie-
wiele wprawdzie różniący się od
obecnego, ale przecież pozbawiony
najciekawszego akcentu: nie było
na tych polach ludzi. Dopiero w
miarę jak wyrastały te mizerne
domki, zjawiali się również ich
mieszkańcy. Nie byłem świadkiem
tych przemian, zastałem już pole
z tymi kilkoma domkami. Tylko po
naszej stronie nie wybudowano nic.
Widocznie władze nie pozwalały
przekroczyć brystrej wody. Rzeka
stanowiła niejako granicę między
więzieniami a przestrzenią po części
zabudowaną i zamieszkałą.

Jednakowoż rzeka i pola odgry-
wały jeszcze inną rolę, ważną, de-
cydującą. Więzień przybywszy tu
zza murów otoczonych morzem
kamiennych domów, wyniosłych bu-
dowl, kominów, gwaru miasta, hu-
ku poślągów, dźwięku dzwonów
kościelnych wpadał tu w przera-
żającą ciszę, senną i nużącą. Przyby-
łego administracja pytała: chłop
czy robotnik? Jeżeli skazanym ko-
munistą był robotnik, wędrował do
celi z oknem zwróconym ku mia-
stu: jeśli skazanym był chłop, w-
ędrował do cel z oknem na pole i
rzekę. To wszystko. I tu mógłbym
właściwie zakończyć moją opo-
wieść. Bo coż mogę jeszcze dodać
do tych szczegółów? Cóż p o w i n-
n i e n e m jeszcze dodać do
tych szczegółów, aby bliżej określić
ten sposób torturowania skazań-
ców?

3

Wprowadzono mnie do celi o ok-
nie na pola i — jak się dowiedza-
łem później — administracja po-
stała w ten sposób, ponieważ nie
było miejsca w celach po „miej-
skiej” stronie więzienia. Początko-
wo nie wiedziałem więc, że posta-
wiono ze mną w sposób wyjątko-
wy, pozwalając mi „zamieszkać” w
tej części budynku.

Przyznam, że widok na rozległe
pole, spojrzanie na rzekę niewi-
dzianą dawno, bystrą i nęcącą
chłodem, swobodą, podzielał na

UWAGI

O Iwaszkiewiczu
niewiele inaczej

Artykuł Artura Sandaiera o Iwaszkiewiczach („Od... 1954 nr 8) zawiera bardzo wiele słusznych ocen i sformułowań. W sumie wytyczona przez krytyka droga wydaje się drogą prawdziwą. Są jednak w niej zbędne zakusy, dyktando, potrzebne objawy, zjawiska, sprawy, które stanowią jego twórczość, jego twórczość. Artykuł Sandaiera dotyczy całosci dorobku Iwaszkiewiczów. Spróbujmy ograniczyć się tu tylko do poezji i zaproponować autorowi artykułu parę rozwiązań odczytanych z tych, które znajdujemy w jego twórczości. Pierwsza sprawa: Iwaszkiewicz lat 1910-1920 (posługując się latami wydania tomików i oczywiście zakładając, że go, że podana przez Sandaiera data wydania „O k t o s t y c h ó w” 1921 jest pomyłką zecerstwa). W artykule „Od estetyzmu do realizmu” czytamy, że „w tym okresie Iwaszkiewicz przyszedł do literatury z wyprzedzeniem [sprzed lat] i dlatego interesować jedynie jako historyczny dokument”. A powyżej: „Tożżymże jest zbiory liryczne („Okto-stychy” 1921, „Dionizje” 1922, „Księga dnia i księga nocy” 1929) są śladem najstarszego śladu”. Tak młodo, tak młodo, jak mogły być one miejsce w nowatorskiej — budo — nastrojowości treści i mglistości kształtów czynnici z nich raczej pogłosy prądów minionych. Tu i ówdzie tylko jakiś asonans czy eksperymenty z dźwiękami [..] świadczą, że nie jesteśmy już na czysto młodo [..]”. Powiedzy od razu: trochę tak było naprawdę. Piosenki z „Okto-stychów”, „Księgi nocy”, „Księgi dnia i księgi nocy”, wiele wierszy i motywów z „Dionizjów” — to na pewno Młoda Polska. Za mało twórczości, czy tak? Był to jednak zakorkowany, nie czyny (gdyż „K a s y d y” (1924) raczej do liryki niż gdzieś indziej należał) modernistycznym korkami — wale w nich nieco młodsze i nieco burzliwsze, niż się to krytykowi zdawało. Dlaczego? Też — Sandaiera wywodziąc młodego Iwaszkiewicza prawie bez reszty z Młodej Polski budzi sprzeciw? Co go od tej Młodej Polski tak różni, że mimo tylu istic pastiszowo młodo-polskich utworów, jakie w tym okresie, a nawet i później napisał — trzeba przeciw tej tezie zaprotestować? Znow odpowiem faktami, które Sandaier zanurzył, które przecież może nieco zlekceważył. To konkret i zmysłowa wrażliwość, Młoda Polska z tych perspektyw, z jakich ja dziś oglądamy, była przede wszystkim abstrakcyjno-liryczna i idealistyczna.

Nie wiem, co ładniejsze, cicha celka
Czy glicynie, czy okien okragle
...monokle.

Szczęście, ta stara Angielka,
Pauzy na nas przez zło bmoide.

Jeśli ten wiersz wyjęty z „B i l e t ó w t r a m w a j o w y c h” (Piosenki), napisany w r. 1924, a wydany w „K s i ę g i d n i a i k s i ę g i n o c y” (1929), wiersz typowy dla tego zbiorku (o wyraziach wrywach współczesnego Cocteau) — ma coś wspólnego w swej pasji konkretyzacji pojęcia oderwanego, nasycenia go kolorem, w swym dążeniu do ukazania świata w oryginalny, że aż graniczący z dziwactwami, niepowtarzalny sposób — jeśli ten wiersz ma coś wspólnego z poetyką Młodej Polski — to Iwaszkiewicz z tych lat równie dobrze możemy nazwać poetą japońskim, dialego że pisał uty.

Droga konkretna i wrażliwość zmysłowa jest jedynie potencjalną drogą do realizmu. Jest to jednak postawa artystyczna o tyle bliższa realizmowi niż poetyka Młodej Polski, o ile bliższe są realizmowi pełne kształtu i koloru martwe natury od baweniawych obłoków, zapamiętanych wizjami symbolistów.

W artykule Sandaiera zabrakło mi podkreślenia faktu, że począwszy od „K s i ę g i d n i a i k s i ę g i n o c y” — Iwaszkiewicz jako liryk odnajduje w sobie uczucia proste, wspólne milionom ludzi: żal za umiarym przyjaacielem, konfrontacja z minioną miłością. W formie rozdzieli się, a raczej odradza (bo zajął jej znajomy już w młodości „K a s y d a c h i” bezposrednio, to tak charakterystyczne dla późniejszego Iwaszkiewicza pisanie wiersza mby urywka rozmowy.

Są tu już wiersze bardzo piękne, jak ów wiersz o umiarym przyjacielu („Gdy upał jest, gorąco, powiż się szczyt i jest jak barykada miodu...”), jak wiersz o ujęcie potęgi w cykl „Podroży zimowej”. Dziwne, że Sandaier zaliczył je do okresu o historycznej jedynie wartości.

A przecież stąd wywodzi się odpowiedź na ów zadziwienie kłótni na wyraz w dalszych paratach swego artykułu, pisząc:

„Fakt, że pisarz, którego środowisko, koleje życiowe, gusta artystyczne, siowne, wszystko popłynęło w tym kierunku (tj. w kierunku drogi do fascyzmu) [przyp. moją], jednak mu się oparł i w końcu — przeciwnie, jest tym bardziej zadziwiający, że nie powadził on wówczas za ideologią, która by go mogła przecie...” — użbroić: odciódził ją usięp i — ciostwinie — do nikad”.

Sowo „człowiek” — żywe już i okrzepłe w tomie „P o w r o t d o E u r o p y” (1931) — sprawa, że Iwaszkiewicz nie jest Iwaszkiewiczem od drogi fascyzmu, nie jest może tak zadziwiający, jak chce tego Sandaier. Przeprowadzona przez niego interpretacja tego tomu, bardzo słusna i wnikliwa w tym, co zostało napisane, ma tylko jeden błąd: brak tego, co nie zostało napisane.

Polityczna orientacja poety nie zawsze była w ówczesnych czasach słuszną. Ale nie mały prawa deprecjonować nurtu humanistycznego w jego poezji tylko dlatego, że sąsiaduje on z nurtem „mitów europejskich”.

Oto Iwaszkiewicz odpowiada muzie egotyizmu i egzotyizmu:

Lękam się iść za tobą. Patrz, tytu tu
Czeka ode mnie jeszcze uśmiechu
...i znaku.
(Zaproszenie do podróży)

W tym samym tonie mieszczą się piękne, humanistyczne wiersze o poetach, trafnie a w sposób prosty artystycznie sięgające do skarbnicy kultury narodowej. Rozwój fascyzmu europejskiego, okresie gwałcenia i poniewierania elementarnych praw człowieka ten ogólny nurt niepełny, niewystarczający ideał świadczy jednak o tym, że w swej trudnej drodze do realizmu, do zrozumienia, o jakiego człowieka trzeba walczyć, Iwaszkiewicz nie tylko w negacji zbliża się do prawdy.

Stanisław Wygodzki

Jerzy Kwiatkowski

mnie jak orzeźwiająca kąpiel w toni. Przygnałem do kraty nie mogąc przez dłuższą chwilę oderwać uradowanych oczu od niezwykłego widoku. Po szarżynie murów, po czerwieni cegieł dworca w mieście M., który tkwił na wprost więzienia na tle wiecznie zadymionego nieba rozdieranego gwizdem lokomotyw i syren fabrycznych — ten widok: rozległe, bezkresne niebo, w dole szmar zielonych pól z błyskającą srebrną wodą, podział o szalającym. Stałem i wchłaniałem zapachy, barwy, lśnienia, ciśnie...

— Wy skąd? — zapytał towarzyszy, przebijający w celi. — Ze wsi?

Jego głos drżał lekko. Był to człowiek nie pierwszej młodości, tak mi się przynajmniej wydawało, lekko pochylony, o włosach przysprószonych siwizną, która odcieniem przypominała raczej proch osypujący się z sufitu czy ścian, gdy przejeżdżasz po nich szczytką. Zdawało mi się, że wystarczy dotknąć jego włosów ręką, aby proch ten znikł. Tylko oczy były nadmiernie czarne i błyszczące. Ten blask młodzieńczy był tak odległy od siwizny, od pochylecia pleców, od drżenia głosu, że pomyślałem z lękiem, że to wszystko jest ludzkie, a prawdę o jego wieku wykrzykiwały te oczy — bystre i żywe.

— Ja nie jestem ze wsi.

Tamten zastanawiał się nad czymś chwilę, patrząc na mnie uporczywie.

— To dlaczego dali was tutaj?

— Jak to: tutaj?

Nie rozumiałem jeszcze nic, a pytanie było tak zaskakujące, że przez chwilę zastanawiałem się czy stojący przede mną człowiek jest przy zdrowych zmysłach. Powtórzyłem pytanie: jak to tutaj?

— Bo na tę stronę dają tylko towarzyszy ze wsi.

wali mi w kancelarii: to dobrze, mamy dla was świetną celę. Z widokiem na rzekę...

Byłem pewien, że już rozumiem o co mu chodziło. Wskazałem na rzekę lśniąca wśród pól.

— To dlatego, żeście się wychowali nad rzeką, dali was tutaj?

— Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że dlatego. Ale teraz już wiem. Po chwili zapytał:

— A u was była rzeka?

— Nie.

— Widocznie mają przepelnienie po tamtej stronie — odwrócił głowę i wskazał drzwi wodzące na korytarz.

— Widocznie.

Rozejrzałem się po celi rzekłem: — Macie tu dość miejsca.

— Tu jeszcze dla trzeciego znalazłoby się.

Przemierzyłem celę w milczeniu. Była wygodniejsza od tej w M. Można tu urządzić długie spacery — pomyślałem i będę musiał zmienić krok. Przystanąłem i zapytałem:

— Dawno tu siedzicie?

— Dość dawno. Osiem lat, a miałem wszystkiego dziesięć.

— To osiem już tu siedzicie?

— Tak.

— To tyle, ile ja mam tu przesiedzieć.

Przeglądałem mu się ciekawie. Potem stanęliśmy przy oknie umieszczonym na wysokości ramion. Mogliśmy ręce oprzeć wygodnie na skośnie ściętym występie muru.

Była pełnia lata i okno uchylone do wnętrza nie zatrzymywało wiewu wonnego idącego od pól. Były rozległe, zielone, równinne, aż po odległy horyzont nad którym skupiły się chmury. Nisko widoczne były drogi wijące się wśród łanów kołysanych łagodną falą jasną i drobną. Rozległe kartofliska ciem-

swawoli. Teraz ukazała się w drzwiach jednego z domków jakaś kobieta. Szła ku rzece, trzymając w jednej dłoni dwa puste wiadra; drugie pokryte niebieską emalą, błyszczące krótkim kołyszącym się blaskiem słonecznego refleksu. Kobieta zbliżyła się do brzegu, zwróciła się ku spadziemu występowi, na którym zółcił się piach, po czym pochylała się i zanurzyła pierś jedno, następnie drugie wiadro. Po chwili wyprostowała się, odwróciła i szła z powrotem ku domkowi, z którego była wyszła niedawno. Widziałem jej kołyszący się chód, spiesznie migające nogi. Nadmiar wody przelewał się brzegami wader srebrzystymi bryzgami.

— To Halinka — powiedział mój towarzysz.

Spojrzałem na niego z ukosa, nie odwracając głowy. Sądząc z wyglądu, kobieta oddalająca się od brzegu mogła liczyć jakieś trzydzieści, trzydzieści dwa lata — czemu więc mój towarzysz nazywa ją zdrobniale, jakby chodziło o podlotka co najmniej, lub o kogoś bliskiego? A poza tym — skąd zna jej imię? Czyżby w ciągu tych ośmiu lat zdołał nawiązać, na odległość, romans z nieznana kobietą? Tymczasem tamta weszła do domku, zostawiając za sobą uchylone drzwi.

— Ma dwoje dzieci — dodał po chwili. — Hele, starsze i Józia; młodsze. A, widzicie, tam jest Hela.

Uniósł nieco głowę i wskazywał dzieci, bawiące się na drugim brzegu.

— Która to?

Niektóre dzieci nadal uganiały po polu przekrzykując się wzajemnie. Inne siedziały w pobliżu rzeki, lub skupiwszy się w hałasującą gromadkę przekomarzały się głośno. Przesłaniały je krzaki wikliny nabrzeżnej. Nie wiedziałem, o której dziewczynce mój towarzysz mówi,

— Cieślą?

— Tak. Nazywa się Kazimierz. Znow spojrzałem na niego z ukosa, aby nie spostrzegł, że go obserwuję. Po chwili odwróciłem głowę, ale nie ku niemu, tylko ku szybce uchylonego okna. W szybie odbijał się jego profil. Zarys twarzy był ostry, pełen napięcia i wycekowania: okienne szkło odbiło również skrawek nieba, kłęb rozwianej, białej chmury sunącej wysoko, stromo.

— Długo ze sobą chodzili, zanim się pobrali. Tam było kilka koleżanek, które go chciały zdobyć dla siebie.

Roześmiał się:

— Halinka urodziła pierwsze dziecko, zanim wzięli ślub.

Również i ja roześmiałem się.

— Tak?

— Halinka była najdorodniejsza ze wszystkich dziewczyn. Ona się tu kapaty latem — uniósł głowę — tam naprzeciwko.

— Dlaczego?

— Jak to: dlaczego? A gdzie miały się kąpać? Kryły się za krzakami wikliny, a niektóre, czy to dla pokazania wdzięku, czy dla swawoli, to nawet wychodziły na środek rzeki. One miały wtedy nie więcej jak piętnaście, szesnaście lat. Tak jak tamte dzieci — widzicie? Też się kąpiały?

— Ach tak.

— Tak. A teraz już są matkami, mają po dwoje, a nawet i troje dzieci. Te wszystkie dzieci urodziły się już tu, nad rzeką. A niektóre dziewczyny nawet nie żyją.

Jego głos nabrzmiał smutkiem i powtórzył:

— Nie wszystkie żyją.

— Przecież mówiliście, że takie młode...

— Widzicie ten domek na wprost tej najgęstszej wikliny?

— Na prawo?

— Tak.

STANISŁAW WYGODZKI

NAD RZEKĄ



Rys. Tadeusz Kulistewicz

Ciągle się dziwiłem, nie rozumiejąc nic. Wiedziałem, że administracja więzień stosują wobec nas różne szykany, ale o tego rodzaju klasyfikacji w rozmieszczaniu więźniów jeszcze nie słyszałem. Czyżby zmierzali do absolutnego oddzielenia robotników od chłopów? Spojrzałem na mego towarzysza i zapytałem:

— To wy jesteście ze wsi?

Zaprzeczyl i uśmiechnął się smutnym, bladym uśmiechem.

— Pochodzę z N., nad Bugiem, jestem robotnikiem.

— Nie nie rozumiem. Czemu więc dziwi was to, że ja tu jestem? Skoro nie jesteście ze wsi, czemu was umieścili tutaj?

Rozglądałem się powoli po pustej i nagiej celi. To chyba i mnie wolno tu przebywać? W pośpiechu pomyślałem: wariat.

— Gdy im powiedziałem, że pochodzę z N., nad Bugiem zakomunikowali matową zielenią krępych krzewów. Koń wlokący powoli wóz wzbijał tuman kurzu, który szedł za pojazdem pównowa, wiotką smugą, rozsuwającą się sennie w upalnym słońcu na pola i łąny. Bliżej nas, na pastwisku, leżało kilka ociężałych krów. Dwa spętane konie zarżały, rzuciły się nagłym, ukośnym skokiem ku ogrodzeniu z lekkich żerdzi i równie nagłym zwrotem stanęły pochylwszy łby. Nieopodal rzeki bawiły się dzieci. Niektóre biegały i nawołując się głośno wykrzykiwały imiona uczestników zabawy. Słyszałem imiona, które mogły brzmieć jak przezewisko, lub jak zawołanie, w którym jest urąganie lub kpina. Głosy dzieci dobiegały nas wyraźnie. Rozumiałem nie tylko słowa: chwylałem ich brzmienie, barwę. Wyrostki były rozbawione, rozkrzywane. To rozległe pole odgraniczone od nas rzeką i wysokim murem było ich podwórkiem, placem zabaw, igrzyszek i

— O, tamta, widzicie? Ta bosa w starej sukience, bez rękawów. Widzicie?

— Tam jest kilka dziewczynek w szarych sukienkach.

— No, ta — niecierpliwił się — która biegnie do brzegu, widzicie?

— Aha.

— To jest córka Halinki.

Wypowiadał to imię ciepło, pieśczołiwie niemal. Pomyślałem z lękiem, że wnukam w jakieś samotnicze dzieje i tragiczne tych dwojga ludzi. Czyżby przez osiem lat widywał codziennie, a nawet kilka razy w ciągu dnia kobietę, którą kochał? Spojrzałem ku domkowi, do którego weszła kobieta. Widziałem wyraźnie uchylone drzwi, cień padający ukośnie na podłogę sionki. Teraz kobieta ukazała się w oknie, odsunęła zwinną białą zasłonkę. Przez chwilę widziałem jej twarz.

— Jej mąż pracuje w mieście, jest cieślą.

— Tam mieszka rodzina, czworo ich było. Jan i Jadwiga to rodzice, teraz nie ma ich w domu, wracają dopiero na noc, to wyrobnicy, którzy wychodzą o świcie do roboty. Ich synek, Bogdan jest u rodziny w mieście, a córka Kazia nie żyje już od trzech lat.

Odczekał dłuższą chwilę, wreszcie dodał:

— Utopiła się.

— Nie! Utopiła się? — powtórzyłem głośno. — Dlaczego?

— Przez Franka.

Teraz zwróciłem ku niemu twarz. Najpewniej nie zdołałem ukryć zdumienia.

— Przez Franka? Przez jakiego Franka?

— Widzicie domek koło ogrodzenia za którym stoją te dwa konie? Tam teraz balię wynieśli i stoleczek, widzicie, pewnie będą prali bieliznę. W tym domku mieszka Frank.

— Za rok wyjdę i trochę pomieszkać tutaj — uniósł głowę i wskazał obszar ciemniejący już za oknem.

— Tutaj?

— Tak. Sprowadzę tu matkę, tam jest domek, odpowiedni dla nas. Spójrzcie, chcacie?

Ruszyłem z mego kąta i podszedłem do okna.

— Widzicie, tam, jeden człowiek siedzi na ławie, widzicie? On jest samotny ale izb ma trzy, widziałem jak stawiał domek. Pewnie odda jedną izbę.

— A jeżeli was nie przyjmie?

— Może przyjmie. U nas siedział jego syn, ale już nie żyje. Trzymali go „miejskiej” stronie, za nic go nie chcieli puścić tutaj, na tę stronę, nad rzekę.

Stanisław Wygodzki

Jerzy Kwiatkowski

KAZIMIERZ RUDZKI

Wielka gra solenizanta

1. LEGITYMACJE KRYTYKA

Nie bez uczucia niepokoju i zażenowania wysłuchałem propozycji redaktora działu teatralnego „Nowej Kultury”, żebym napisał recenzję z przedstawienia pt. „Imieniny Pana Dyrektora”. Niepokój ogarnął mnie nie tylko z poczucia wrodzonej skromności... Ostatecznie tyle osób pisze o teatrze, dlaczego — ja nie mógłbym? A przecież to, że mam od szeregu lat bliższy kontakt z teatrem — nie powinno być okolicznością obciążającą... Mimo to, poczułem się jakoś niewyrażnie... Tyle razy obrażałem się na różne recenzje, tak często krytykowałem krytyczne uwagi i bezkrytyczne niewągły krytyków teatralnych, że pomyślałem sobie: po co ci to? Co innego rozmowa za kulisami czy w kawiarni, a co innego dowód rzeczowy w postaci słowa drukowanego! No i naturalnie zaraz dalsze skrupuły... Bo to jest tak: przyznaję lojalnie, że autorów sztuki nie tylko znam osobiście, ale nawet grywałem z nimi w brydża, dyrektor Teatru Powszechnego to mój dawny profesor ze szkoły teatralnej, wicedyrektor — serdeczny kolega... No i jak w takich warunkach wychylać się z uwagami? Gdybym jeszcze miał kiedyś jakiś osobisty zatarg z tym teatrem — wtedy sprawa byłaby prosta i miałbym od razu opinię publiczną za sobą, bo przecież nie ma nic bardziej oczywistego, niż rozgrywanie osobistych spraw w publicznych wypowiedziach... A tak, co? Napisać, że mi się podoba — powiedział... oho, widocznie chce coś w Powszechnym reżyserować, albo szuka mieszkanka dla kuzynki, bo przecież jeden z autorów ma znajomego, którego szwagier wyleciał z kwaterunku, bo widocznie miał tam chody... Napisać, że mi się nie podoba — powiedzą: zdradca, nikczemnik, bez koscia, teraz dopiero wiemy, kim jest naprawdę, a zdawało się, że porządny człowiek i kolega... Takie i podobne wątpliwości dręczyły mnie przez jakiś czas, dopóki nie znalazłem właściwego usprawiedliwienia — dlaczego właśnie... ja. Ale teraz — już wiem. Zaczęłem bowiem przetrzącać w pamięci kartki mojej przeszłości i nareszcie odnalazłem klucz i to — bezbłędny... Ołóż, w latach młodzieńczych, kiedy zajmowałem się studiami ekonomicznymi, pisałem pracę dyplomową pt. „Przemysł muzyczny w Polsce”, a ponieważ „Imieniny Pana Dyrektora” dzieją się w fabryce płyt gramofonowych, więc po prostu zwrócono się do mnie, jako do... „biegłego w swojej sztuce”. No, cóż — byłem młody... Nie każdy może być zaraz fredrowskim Wacławem; ja zajmowałem się płytami gramofonowymi...

Kiedy sobie przypomniałem — uspokoiłem się i od razu poczułem się w charakterze upoważnionego może nie do recenzji, ale w każdym razie do zabrania głosu na temat działalności dyrektora fabryki płyt gramofonowych, zwłaszcza z dnia jego imienin.

2. NA IMIENINACH...

Poszedłem na te „Imieniny” z pewnym lekkiem, bo na ogół recenzje były bardzo dobre. Mimo to, wyobraziłem sobie, pierwsza od wielu lat farsa polska — podobala mi się. Podobala mi się dlatego, że jest w niej sporo dobrych rzeczy, których mogłoby nie być, i nie ma wielu złych, które mogłyby być... Podobala mi się, chociaż słowo często zawodzi, miejscami jest rozgadane, za mało zwarte, celne, lekkie i — tu zarzut w stosunku do farsy dość poważny — za mało dowcipne. Ale podobala mi się, bo skonstruowana jest zreczenie i na ogół politycznie sensowna i faktowna.

Ale, przede wszystkim podobala mi się dlatego, że ma wprost znakomitą rolę! Tak bardzo stęsknił się wszyscy (aktorzy i publiczność!) za dobrą rolą we współczesnej sztuce, że rolę dyrektora Puchalskiego powinniśmy powitać entuzjastycznie. Zresztą widowni nie trzeba do tego entuzjasmu namawiać, bo też każde pojawienie się na scenie Puchalskiego przyjmowane jest z prawdziwą radością. Oprezysny grze Tadeusza Chmielewskiego powiem jeszcze później.

Wydaje mi się, że w umiejętności napisania tej roli tkwi szczęśliwe nawiązanie do tradycji dobrej farsy, tak samo jak fakt, że akty drugi i trzeci są o wiele lepsze od pierwszego — świadczą o równie szczęśliwym zerwaniu z niedobrymi tradycjami naszej dramaturgii.

3. POSTACIE W SZTUCE I NA SCENIE

Postacią dużej, a nawet imponującej wagi jest w sztuce żona dyrektora Puchalskiego, narysowana przez autorów z pewnością łatwiejszymi chwytami, przecież jednak sympatyczna i ludzka, pokazana na scenie w dość ekspansywnej formie aktorskiego wykonania.

Dobrze napisana rola — to kuzyn dyrektora, Poldek, Bikiniarz, marzący o półetatowym zachęceniu się i jednocześnie fanatyk tranzakcji kupna — sprzedaży — dobry pomysł. Niestety realizacja sceniczna zrobiła wszystko, żeby pomysłowość tej roli zachować — mówiąc po koleżeńsku — w mrokach konspiracji. Typowy przykład, kiedy autorów zawodzi pomoc ze strony teatru.

No, i teraz chwalebna sensacja! Przedstawiciel końcowego moralu sztuki — zreczenie wprowadzony na scenę!... Pomyślcie tylko: i partyjny, i rezoner, i ma rację! — zupełnie przyjemny facet! I do tego, tę niejako łatwiejszą rolę Mieczysław Serwiński nasycił prostotą i serdecznością rozumnego człowieka. Typowy przykład, kiedy autorzy winni są aktorowi szczególnej podzięk.

Czy może być sztuka z dyrektorem i bez sekretarki? Nie, nie może być... Czy sekretarka — zgrabna? Zgrabna... Ale, spokojnie, bez uśmiechów radości i nadziei, dyrektor owszem, może i ma pewne plany, ale odważyć się raczej korespondencyjnie... Jeszcze na tym etapie sekretarka nie siada na kolanach dyrektora.

Autorzy dali Barbarze Stępnia-kównie dość trudne zadanie do rozwiązania. Przez dwa pierwsze akty zapowiadają kociaka pospolitego, a nagle w ostatnim akcie kociak wykazuje pewne możliwości myślowe. Rola w egzemplarzu i na scenie — nienajlepiej przeprowadzona.

A teraz inżynier Rachwał... Już w samym bieżnienu nazwiska wyczuwa się łatwo pozytywną postać nieustraszonego racjonalizatora, wyposażonego w bezbłędna bazę światopoglądową, mówiąc stylem dyrektora Puchalskiego, Na ogół tutaj autorzy wybrnęli z niebezpieczeństw, jakie kryje w sobie tak mobilizujące nazwisko.

Moim skromnym zdaniem, Tadeusz Bartosik budził większe zaufanie, jako inżynier, niż jako — amant, gdzie najbardziej naturalną jego cechą była przede wszystkim ondulacja. Pierwsza rozmowa przez telefon i pieszczoty powitalne z ukochaną istotą nie należały do najszcześniejszych momentów tej roli. Mimo że ukochana istota w interpretacji Marii Garbowskiej wyróżniała się przyjemnym tonem wrodzonej prostoty.

Naczelnik Dobek... Jakiś nie bardzo wyraźny etat i może dlatego Zygmunt Wojdan zamierzał ucharakterystycznie tego naczelnika — na siłę... Ale ponieważ z siłami nie było najsiłniej — pozostała tylko farsowa sztafeta.

Z dwóch inspektorów zabawny i prawdziwszy był inspektor Kalita. Starszy inspektor Dębicki, zachowywał się jak młodszy amant, który w chwilach wolnych od zajęć zawodowych przeprowadza inspekcję lokalu rozrywkowego.

Spokojniejsi, jakimi obrzucał na scenie sekretarkę wywoływały na widowni szereg rumieńców nawet u ludzi żonatych. Woźny Więckowski miał być prawdopodobnie w zamierzeniu autorskim zabawnym woźnym. Dla mnie nie był ani zabawny, ani woźny. Środki aktorskie nie przydały wątpliwemu tekstowi ani humoru, ani prawdziwości.

4. TROCHĘ O STYLU GRY FARSOWEJ

Wiem, że na zarzut „nieprawdziwości” postaci w farsie można usłyszeć często replikę: o jakiej prawdziwości mówisz, przecież to farsa!

Mówię o tej prawdziwości, która zarówno w tragedii, jak i w farsie musi nam przekazać prawdę o człowieku. Rzecz oczywista, że inne środki aktorskiego wyrazu służą nam do pokazywania prawdy w farsie, inne — w tragedii, czy komedii. Bo też i bohaterowie farsy lepieni są z innego budulca.

Zabawność, śmieszność postaci farsowej polega na uwidocznieniu nieoczekiwanych sprzeczności charakteru, zachowania, sprzeczności, które właśnie w farsowych sytuacjach zostają wyzwolone. Ujawienie tych sprzeczności jest w farsie nieoczekiwane, zaskakujące i dlatego śmieszne nas. W momencie jednak, kiedy poprzez środki aktorskie, wyrazu doprowadzamy do nieprawdopodobieństwa, a więc w pewnym sensie do odczłowieczenia postaci — mamy wtedy do czynienia co najwyżej z kłownadą, która tylko w cyrku zyskuje sobie miano sztuki.

Farsa satyryczna korzysta z własnych, autonomicznych praw do wyjaskrawienia i wyostrenia obrazu. Prawa te jednak nie dopuszczają przekroczenia granicy, poza którą przestajemy doszukać człowieka.

5. WIELKA GRA SOLENIZANTA

I dlatego chcę tutaj wrócić do kreacji Tadeusza Chmielewskiego. Chmielewski gra rolę dyrektora Puchalskiego farsowo, używa niewątpliwie ostrych środków wyrazu, ani na chwilę jednak nie przestaje być dla nas człowiekiem, w którego istnienie możemy uwierzyć. Przechylając swoją koncepcję aktorską czasem nawet w kierunku parodystycznym, Tadeusz Chmielewski jednocześnie równoważył takie ujęcie roli niedzielnym ładunkiem ciepła.

Był nieznoszony, ale i przyjemny zarazem, dlatego, „jako człowieka byliśmy skłonni darzyć dyrektora Puchalskiego sympatią, chociaż w finale sztuki zgadzaliśmy się z autorami, że taki człowiek nie powinien być dyrektorem.

Sprzecznosc ujawniona między zachowaniem się Puchalskiego a jego pozycją i prawdziwą postawą społeczną została pokazana przez Tadeusza Chmielewskiego w sposób satyryczny i farsowy zarazem.

Chmielewski gra człowieka, który w swoim życiu również gra sta-

le, pewną określoną aktorską rolę... Ale dyrektor Puchalski zagrał się i — przegrał...

I tę prawdę o Puchalskim przekazał nam Chmielewski w sposób oczywisty i bardzo śmieszny.

Kunszt aktorski Chmielewskiego, jego siła komiczna i absolutna prostota sprawiły, że każdy z wykonawców najlepszy był właśnie w scenie z Puchalskim, zawdzięczając również i swój sukces wielkiej grze solenizanta.

6. ZAKOŃCZENIE

Wielką zaletą sztuki Słotwińskiego i Skowrońskiego jest przyjemna, ciepła atmosfera, jaką wyczuwa się w ich farsowej opowieści o perypetiach dyrektora Puchalskiego. Dzięki tej atmosferze moralizatorskie akcenty przedstawienia utrzymują się we właściwych wymiarach farsy i dobrego smaku jednocześnie.

Wiem, że do obowiązującego tonu tego rodzaju wypowiedzi należy umieszczenie tuż przed zakończeniem jakiejś uwagi krytycznej. Proszę bardzo... Ołóż, poczułam się zwrócić uwagę autorem, że uplasowanie w terenie fabryki płyt gramofonowych (nie palefonicznych jak to jest napisane na transparentach w gabinecie dyrektora!) wraz ze studium do nagrywania, jest oczywistym błędem planowania.

Na szczęście wiem, że nikt z autorów satyrycznych nie ma ambicji zostania bohaterem planowania na szczeblu PKPG... Tak, jak wiem, że wielu planistów robi wszystko, żeby stać się ulubionymi bohaterami autorów satyrycznych.

I na koniec jeszcze jedno przyjemne stwierdzenie... Dotychczas wesołej zabawy dostarczały nam przeważnie autorzy poważnych sztuk, teraz nagle włączyli się do tej akcji autorzy satyryczni. Go to znaczy jednak — współzawodniczo! Jakby to powiedział dyrektor Puchalski? Aha, już wiem... „Na bazie oddolnego zaktywizowania szczebla satyrycznego należy nieustannie dbać o kosciec ideologiczny i walczyć, walczyć, walczyć...”. Eh, to jednak nie to... Musicie usłyszeć, jak takie zdanko referuje Tadeusz Chmielewski!

Kazimierz Rudzki

W GRANICACH REALIZMU

(Dokończenie ze str. 1)

tra Loti, których autorowie apelują do regionalistycznych uczuć Kabył, jakkolwiek cieszą się dużym powodzeniem w kołach kolonizatorów, pozbawione są jakiegokolwiek wartości. Przykładem najbardziej charakterystycznym — prawie groteskowym — jest książka Seffrioui. Jego „Pudełko z niespodziankami”, które otrzymało jakąś tam nagrodę „zachodnią”, opiewa dzieciństwo spędzone około 1915 r. w Maroku, gdzie nie widać ani jednego Francuza. Niewątpliwie, drogi Kolego Przemiśli, ten zanik realizmu wynika z motywów politycznych. Gdyby książka ta miała w sobie choćby cień realizmu, musiałaby stanowić gwałtownie oskarżenie naszej polityki kolonialnej.

Wzmyś „Ślup soli” Alberta Memmiego. Forma tej powieści jest realistyczna: daje ona dokładny obraz materialnej i moralnej nędzy panującej w getcie tunińskim; pokazuje, jakim nieszczęściem jest urodzić się w tym kraju, w tym getcie, w tym wieku. Ideologia jej jest częściowo mylna i reakcyjna. Bohater tej autobiograficznej powieści słabo orientuje się w polityce kolonialnej, nie żywi żadnych uczuć patriotycznych tunińskich, jest oderwanym od swojej klasy wykołajcem, dla którego jedynym rozwiązaniem jest... uciec do Argentyny. A jednak w chwili obecnej ta książka daje — może nieudolny, może nie wystarczający, może mimowolny — wyraz wyzwolenemu dążeniu narodu tunińskiego. Jest to książka, której publikacja nie sprawiła zapewne przyjemności panu Letourneau, ministrowi kolonii.

Zapewne, realizm krytyczny, realizm Balzaca, Stendhala, a tym bardziej — Roberta Merle, Piotra Boule, Alberta Memmiego i wielu innych, jak np. Yvesa Gibaud, Piotra Gascar, jest dla nas komunistów nie wystarczający. Czy znaczy to, że powinniśmy go potępić, ponieważ nie jest jeszcze naszym realizmem? Ale jakżeż przeszkodzić przez realizm krytyczny? Z równą racją można by zadać, aby jakiś zacofany kraj przeszedł bezpośrednio od feudalizmu do komunizmu.

Sądze, drogi Kolego Przemiśli, że każdy triumf realizmu powinniśmy witać jako triumf myśli postępowej zaznaczając oczywiście ex post jego niewystarczalność. Po ukazaniu się „Wstań i idź” krytyka reakcyjna zrobiła oczywiście kwaśną minę. Niebawem Hervé Bazin wyjechał do Wiednia na Kongres Pokoju. Podobnie wstręt do amerykańskiej głupoty i do wojennych przygotowań doprowadził Jean-Paul Sartre'a nie tylko do tego, że stał się członkiem Światowego Komitetu Obronców Pokoju, ale i do tego, że poprawił zakończenie swojej komedii „Ladacznica z zasadami”, kiedy miał ją przerobić na film. Podobna ewolucja polityczną możemy zauważyć u Roberta Merle. Kto napisał „Jestem z zawodu mordercą”, musi w końcu zaprote-

Realista po prostu — sentymentalny

STEFAN MORAWSKI

Kiedy Wawrzyniec Sterne wydał w r. 1768 „Podróż sentymentalną”, był on już znanym powieściopisarzem. Jego wcześniejsza książka „Tristram Shandy”, która wychodziła tomami, od r. 1760 przyniosła mu sławę europejską. Wikary z osady wiejskiej Sutton in the Forest stał się bywałcem saloonów i podczas podróży we Francji był przyjmowany przez Holbacha i Diderota. „Tristram Shandy” zamierzony był jako encyklopedyczny rodzinny — obyczajowy — romans. Sterne poszedł w nim własną drogą. Inaczej niż jego wielcy rówieśnicy historycy Fielding i Smollett, kładł akcenty w swej powieści. W równej mierze, a bodajże więcej niż wydarzenia, obchodzą Sterne'a poglądy postaci. Każdy z jego bohaterów obarczony jest jakąś dziwną skłonnością (hobby) a ulubieniec autora, wuj Toby, jest postacią z pogranicza normalności i anormalności. Sterne nie trzyma się ściśle chronologii wydarzeń. Miesza wątki w czasie i fragmentaryczne powieści wprowadza na plan pierwszy. Wreszcie zajmując się drobiazgami, zarówno zewnętrznymi jak i wewnętrznymi. Cały rozdział potrafi poświęcić uściskowi ręki gryzeczki i przeżyciom bohatera na tym tle. Była to niewątpliwie rewolucja literacka i jak dalej pówiemy, nie tylko zresztą literacka. „Podróż sentymentalna” czyli podróż po Francji pogłębia i zaostrza ekscytryzm „Tristrama Shandy”. Cóż w niej znajdziemy? Szereg powiastek lub historyjek luźno ze sobą powiązanych lub w ogóle niepowiązanych. Kapitałne żartobliwe uwagi rozsiane tu i ówdzie. Świętne powiedzenia i poważne refleksje natury filozoficznej. Ot, dziennik z podróży, w którym autor pisze o tym co mu się żywnie podoba. Jednakże książka ta była niecodzienna. Bez początku i bez końca, a przecież skomponowana z pełną świadomością artystyczną. Prowadzi ją klasa, że bohaterem jej jest właściwie głównie i wyłącznie „ja” autora. Znamienna przy tym dla owego momentu historycznego i w swych szczegółach i w swych komentarzach filozoficznych. To od niej wziął nazwę nurtu w naszym sentymentalizmie. O tej właśnie książce jedni jak Goethe i Byron mówili z zachwytem, a inni jak Thac-

keray na jej podstawie nazywali Sterne'a „literacką prostytutką”. Sentymentalizm, jak pisze B. A. Kuzmin („Istoria anglijskiej literatury” t. I, cz. II, Moskwa 1945), był protestem przeciw iluzjom Oświecenia jakoby w sposób czysto rozumowy można było rozwiązać problem szczęścia ludzkiego i sprawiedliwości społecznej. Występując przeciw oświeceniowym ideałom wszechwładnego rozumu sentymentalisci wyrażali protest mas ludowych przeciw roządzącemu się porządkowi burżuazjennemu. Był to jednocześnie bunt przeciw feudalizmowi, przeciw wszelkiemu uciśkowi jednostki. Był to jednakże bunt podobnie abstrakcyjny jak i ideologia oświeceniowa. Sentymentalisci stawiali na uczucie jako element wiążący wszystkich ludzi ze sobą ale nie umieli swych poglądów wyrazić w języku klasowym. Stąd też przejawiają się w nich elementy patriarchalnego widzenia świata. Stąd także skłonność do religijnej interpretacji losu człowieka, ucieczka od życia społecznego do natury, rozważania o śmierci, pochwała odludka, który w samotności przeżywa swój stosunek do wszechświata. Kuzmin pisze, że sentymentalizm przybierał dwie formy: filantropijną u przedstawicieli klas wyższych i buntarską, ale ubrana w szaty ewangeliczne u przedstawicieli klas niższych, jak np. w ruchu metodystów z ich koncepcją „religii serca”. Sterne łączy obie odmiany. Jego kpina z króla francuskiego, który przejmując spadek po zmarłym na terytorium Francji cudzoziemcem, jego opisy saloonów francuskich, ukazanie snobizmu baronów, markizów etc., zgorznienie jakie wywołuje u pani de W. swą obroną religii objawionej, jego wielokrotnie powtarzające się opisy żebraków, wreszcie sprawa niezadowolonego paszportu i wizja lochów Bastylii — to ta strona medalu, na której wypisana jest niechęć do klas „cywilizowanych”. Czułe i tkliwe spotkanie z obłąkaną dziewczyną wiejską, Marią z Moulins, serdeczna pobłażliwość wobec chłopca, La Fleur, wreszcie opis wieczerzy w zagrodzie u stóp góry Taurira, przypominający o brzozy braci Le Nain i Chardina — to druga strona medalu, na której widać gorącą sympatię do ludzi prostych: do tych, którzy według nauki Jana Jakuba Rousseau zachowali pełne, naturalne człowieczeństwo. Sympatię tę dostrzegamy również we flirtach Yoricka. Jego gryzeczki i pokójki traktowane są inaczej niż w powieściach Richardsona, Fieldinga i Smolletta. Nie są to osoby, do których zniżają się pan z „lecture class”. Są to osoby równoprawne, jeśli idzie o uczucia. W rozdziale tytułowanym „Pokójówka” czytamy:

„Stodko jest czuły, jak subtelne nici sprzągają ze sobą nasze uczucia. Ruszyliśmy znów w drogę i za trzecim krokiem dziewczyna wsunęła mi rękę pod ramię — właśnie ją o to prosiłem, ale ona uczyniła to sama z siebie, z odruchową prostotą, która świadczyła o tym, iż nie postąpiła jej w głowie, że dała byłem jej nieznaną. Co do mnie, tak mocno czulem łączące nas węzły krwi, że mimo woli zwróciłem się ku niej, by poszukać w jej twarzy śladów rodzinnego podobieństwa. — Glupstwo! — rzekłem — Czyż nie jesteśmy wszyscy krewni?”

Sterne tkwi w swym stuleciu nie tylko przez swoje sympatie i antypatie społeczne. Jakież bogactwo myśli filozoficznych zawiera „Podróż sentymentalna”. Odczytanie z niej konfliktu Rousseau z materialistami, przycinki A. Holbacha i szczególnie La Mettriego, którzy uważali człowieka za maszynę. Znajdziemy w niej ucznia empirycznej szkoły angielskiej, Locke'a, który uprawiał analizę wrażeń i Humm'a, który odnosił się sceptycznie do reguł ustalonych przez dotychczasowy porządek społeczny. Sterne, podobnie jak oni jest XVIII-wiecznym światowcem, podobnie jak oni daleki jest od otwartego wyrażania rewolucyjnych sądów ale drąży swą ironią drzewo z takim mozołem pielegnowane przez wieki augustiański, wiek Pope'a i Johnsona. Wpływowi tej szkoły angielskiej należy chyba przypisać a) analityczną psychologię Sterne'a. Do niej także należy odnieść sternowską podejrzliwość wobec tezy Shaftesburego, że wszyscy ludzie są z natury dobrzy i społecznie usposobieni. Już w „Tristramie” autor dowodził ustami Yoricka, że takie naturalne sumienie społeczne nie istnieje, istnieje natomiast egoizm. W „Podróży sentymentalnej” przygoda z mnichem w Calais była potwierdzeniem poglądów Sterne'a o egoistycznej naturze człowieka. Wydaje się, że i jałmużnę daje Yorick jedynie gwoli wzbudzenia w sobie i u ofiarowanych dobrych sentymentów.

Cały — i treściowy, i ściśle artystyczny — smak „Podróży sentymentalnej” tkwi jednak nie w łatwej zresztą do odcyfrowania wartości ideowej i filozoficznej. Tkwi on właśnie w drobiazgowych analizach uczuć, w odcieniacz przeżycia Yoricka, w zawieszaniu czasu i skupianiu uwagi na błahych wypadkach, by móc na tej kanwie snuć swe sentymentalne rozważania. Zaraz na wstępie książki autor dokonuje podziału podróży na kategorie i wyodrębnia swój typ — podróżnika sentymentalnego, i ten

jedzie z konieczności, i z potrzeby wożowania, ale przezwyciężać będzie siebie. W Calais pobyt trwał nie całą godzinę, ale ileż doznał! Wrota remizy stają się kregosłupem fabuły, uściski dłoni nieznanej damy jej osią dramatyczną. Kpiąc sobie z podreknika Smellungusa (autor miał na myśli Smolletta, również autora „Podróży po Francji i Włoszech”) któremu wszystko się nie podoba, Sterne wygłasza pochwałę wiecznie żywych uczuć. Być zakochanym w ludziach i rzeczach — oto wszystko. Jeśli serce jest ożywione, to i całe życie jest bogate, wypełnione zdarzeniami. Oto wyznanie autora: „Ciąg drobnych cichych czułości, nie dość wyraźnych, by zatrzeć, i nie tak niejasnych, by mogły pozostać niezrozumiane — od czasu do czasu miłe spojrzenie poparte niewiele słów lub zgola bez słów — oto sposób, dzięki któremu Natura staje się nauczycielką i ścabią to wszystko według swej woli”.

Wątek p. de L. urywa się. Zamierzono spotkanie w Brukseli jest tylko bodźcem dla wyobraźni czytelnika. To co się dzieje w książce, a dzieje się tak kilkakrotnie, i z pokojówką, i z gryzeczka, i na zakończenie, jest najważniejsze. Sterne nie jest wieszczem namienionej miłości (ten wątek podejmie romantyzm), jest wieszczem przygrywk do niej. Stąd także istotne są owe minucie, słade uczulenie autora na sprawy bagatelne. Poprzez nie Sterne odczytuje człowieka, poprzez nie także, jak wyznaje na str. 61, odczytuje charakter narodu.

Ten poważny, bo zastanawiający się nad białoskiami pastor nie jest jednak w żadnym wypadku moralistą. Wikary z Wakefield, postać ze znanej powieści pod tym tytułem Goldsmitha, moralizuje. Robią to także za Richardsonem Fielding i Smollett. Sterne natomiast ironizuje. Ironia tkwi już w tym, że zajmują go drobiazgi. Ironiczny jest także jego stosunek do samego siebie. Oto co mówi np. o swojej słabości do flirtu: „...szatan był we mnie. Wiem nie gorzej od innych że jest to przeciwnik, który, jeśli mu się oprzeć, pierzcha. Rzadko jednak w ogóle mu się opieram, a to z obawy, bym pomimo zwycięstwa nie odniósł w tym boju rany. Poświęcam tedy triumf dla bezpiecznej pewności i zamiast myśleć o zmuszaniu go do ucieczki, przeważnie uciekam sam”.

Za refleksją podają autorefleksję. Za zewnętrznymi przejawami odkrywa Sterne inne wewnętrzne motywy. Jakiś subtelny i fascynujący jest opis ostatniej sceny — przekomarzenia się nieznanych sobie dwójga podróżnych różnej płci umieszczonych na noc w jednej alkowie! Ile humoru jest w obserwacji kobiet francuskich i krótkiej historyjce o pani de Rambouillet, która potrzebowała „rien que pisser”. Ile ciętości i przenikliwości w analizie stopniowania przekleństw francuskich — perte le diable i tego trzeciego niewypowiedzianego. Jak udany jest żart z imieniem Yoricka i wizją u hrabiego de B. w Wersalu!

Sterne jest realistą. Mniejsza z tym, jaki dodamy przydomek do tego realizmu. Najlepszy byłby oczywiście — „sentymentalny”. Właśnie przez to, że twierdził iż „wszystko pochodzi od ciebie, wielkie, wielkie secesorium świata!”, właśnie dla swych igraszek z drobiazgami, właśnie ze względu na swój zmysł mikropsychologiczny — jest typowy dla swego czasu historycznego. Nie można jego twórczości przykładać do określonych poglądów politycznych. W młodości zapalony wig, po zwycięstwie torysów głośił w ich gazecie, iż wyrecze się dawnych przekonań. Być może, że był to akt serwilizmu. Był to jednak na pewno akt sceptycyzmu wobec obu partii rządzących, posługujących się abstrakcjami rozumowymi. Dla Sterne'a prawdy istotne tkwiły w uczuciach, protest uczucia przeciw rozumowi był wówczas protestem demokratycznym.

Artystyczne osiągnięcia Sterne'a, jego nowatorstwo w ukazywaniu człowieka, okazało się później niebezpieczne. U Sterne'a człowiek zakorzeniony jest w życiu i czas jest mimo wszystko czasem obiektywnym. Eksperymentatorzy dwudziestowieczni zamienili mikroanalizę w „glebinowe” studium jaźni, a czas uczynili tylko czasem wewnętrznym. Wirginia Woolf i James Joyce nawiązywali do Sterne'a. Nie on jednak, ale inny czas historyczny jest odpowiedzialny za ich artystyczność założenia twórcze. Sterne pozostał wbrew takim czy innym kontynuatorom sobą: subtelny i żartobliwy, realistycznym odkrywcą małych dramatów duszy ludzkiej.

Przekład A. Glinczanki jest werny i płynny, czyta się dobrze i łatwo. Postawie W. Chwałewika napisane jest żywo i pobudzająco do myślenia. Zastanawia mnie jednak dlaczego podzielono „Podróż sentymentalną” na dwa tomy. Wzorowa edycja Everyman's Library (nr 796) z przedmową Saintsbury'ego nie przeprowadza tego podziału.

Oczekujemy teraz przekładu „Dziennika do Elizy” i „Listów do Elizy”. Pozwólą one na tle jego spraw rodzinnych lepiej zrozumieć Sterne'a — filicjarza.

Stefan Morawski

Z Sterne „Podróż sentymentalna” PIW 1954 r. il A. Glinczanka.

Szczerze Wam i wszystkim Przyjaciółom w Polsce oddaję

André Wurmser

EDMUND BORA

Zmierch istimaru

Istimar, wyraz zrodzony przez mowę arabską, wymawiany jest z podobnym akcentem nienawisci przez wszystkie różnojęzyczne ludy zamieszkające na przestrzeni od cieśniny gibraltarskiej do granicy chińskiej. Istimar — tłumaczymy zazwyczaj na polski przez słowo imperializm lub kolonializm. Nie znaczy to, że Arabowie, Persowie lub też piszący w języku Urdu czy Hindi nie używają w swojej literaturze międzynarodowej terminologii i że unikają słowa imperializm czy też kolonializm. Przeciwnie, używają tych pojęć gdy chodzi im o precyzyjną naukową.

Alie wyraz istimar nie jest terminem naukowym. Jest słowem najwyższej i najbardziej codziennej mowy ludzkiej o silnym zabarwieniu uczuciowym. Istimar to cała historia współczesna ludów Afryki i Azji. Istimar to kontrast między pięknymi willami europejskich sahibów a nędznymi lepiankami „tubyłców”, to luksusowe szpitale dla angielskich urzędników anglo-irańskiego Towarzystwa Naftowego i jalgica oraz gruźlica wyniszczająca robotników abadańskich i ich dzieci, to wykwinione życie administracji brytyjskiej w Indiach i śmierć głodowa milionów Bengalczyków w Indiach. Istimar wreszcie to wielkopanska pogarda dla tubyłców — natives bez względu na to czy ten tubylec jest zahukanym felachem arabskim czy chłopem indyjskim lub też absolutem uniwersytetu w Cambridge.

Dla polityka na tzw. Wschodzie bez względu na jego sobiste poglądy polityczne i klientele społeczą wypowiedzieć się za istimar równa się samobójstwu politycznemu i społecznemu. Stąd też szczególnie trudna sytuacja tych sfer politycznych i społecznych w krajach azjatyckich, które by ze względów klasowych chciały dla walki z ruchem społeczno-wyzwoleńczym oprzeć się na imperializmie amerykańskim lub angielskim. Równie trudno i niewygodnie jest wypowiadać się w krajach azjatyckich za współpracą z mocarstwami imperialistycznymi, jak trudno było podczas powszeźny okupacji w Polsce wypowiedzieć się jawnie za współpracą z hitleryzmem.

Przez kilka wieków głównym reprezentantem istimaru — ucisku kolonialnego był dla społeczeństw azjatyckich imperializm brytyjski. Z nim głównie stykali się Hindusi i Persowie, Egipcjanie i Syryjczycy. Za jego młodszego partnera uchodził imperializm francuski. Nic też dziwnego, że w miarę kształtowania się amerykańskiej koncepcji ekspansji światowej ideolodzy amerykańskiego imperializmu zaczęli snuć teorie o możliwości wykorzystania nienawisci ludów azjatyckich i afrykańskich do starych mocarstw kolonialnych w interesie USA.

W amerykańskim piśmiennictwie naukowym i publicystycznym mnożyły się wypowiedzi i rozważania o nieuniknionym rozkładzie imperiów kolonialnych i o „misji” Stanów Zjednoczonych wyznaczanej im przez historię na terenach Azji i Afryki. Churchill musiał podczas II wojny światowej niejednokrotnie ostrzegać amerykańskich sojuszników, żeby zbyt pochopnie nie liczyli na spadek potyryjski. Nie przeszkadzało to amerykańskim mężom stanu wchodzić w bezpośrednie kontakty z kołami rządzącymi w posiadłościach brytyjskich, francuskich i obiecując im pomoc w walce z Wielką Brytanią czy Francją.

Wiadomo, że wizja świata po II wojnie światowej w poglądach

kierowniczych kół politycznych Waszyngtonu nie ma nic wspólnego z obecną rzeczywistością. Dla Amerykanów wydawało się oczywistym, że po II wojnie światowej na skutek silnego osłabienia imperium brytyjskiego i francuskiego (i długotrwałego wycieńczenia na skutek wojny z Niemcami hitlerowskimi — Związku Radzieckiego) zdołają porządkować sobie życie gospodarze i polityczne calej kuli ziemskiej.

Byli przekonani, że cały kontynent azjatycki, a więc przede wszystkim Chiny i Indie nie licząc już Indochin, czy też krajów arabskich, staną się ich olbrzymim rynkiem inwestycji i zbytu towarów, podstawą ich olbrzymiego imperium.

Pierwszy cios zadał im planom i wizjom amerykańskim prezydent USA Truman wydając rozkaz rzućenia bomby atomowej na Hiroszimę i Nagasaki w Japonii. Celem tego masowego morderstwa było nie zmuszenie Japończyków do kapitulacji, bo oni by i tak skapitulowali po klęsce ich sojusznika niemieckiego i przystąpieniu ZSRR do wojny z Japonią, ale nastrozenie Związku Radzieckiego. Cel ten jak już teraz sami Amerykanie wiedzą, nie został osiągnięty. Inny był natomiast niezamierzony skutek bombardowania atomowego Japonii — ogromne wzburzenie w Azji.

W Delhi i Karaczi, w Teheranie i Damasku natychmiast skojazono fakt okrutnego zbombardowania atomowego miast japońskich z faktem, że Japończycy są Azjatami. Doświadczenie zaś historyczne nauczyło Azjatów, że jednym z podstawowych założeń istimaru jest też a o malej cenności życia Azjaty. Odtąd stopniowo ale konsekwentnie waliły się gmachy amerykańskiej wizji kierowania i rządzenia światem.

Klęska Kuomintangu w Chinach i powstanie Chińskiej Republiki Ludowej było nie tylko dlatego ciężką porażką amerykańską, że „stracili” sami Chiny. Powstanie Chin Ludowych zadało bowiem pozycjom amerykańskim bolesny cios również w innych częściach Azji. Burżuazja indyjska oceniła realistycznie fakt obalenia skorpumpowanego rządu kuomintangowskiego i wyłonienia się nowego państwa chińskiego o zdrowych podstawach gospodarki społecznej. Wbrew olbrzymim naciskom amerykańskim rząd indyjski nie tylko uznał rząd Chin Ludowych, ale wystąpił w roli gorącego orędownika uznania pozycji mocarstwowej Chin na świecie i dopuszczenia ich rządu do Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Niewątpliwie na stanowisko zajęte przez rząd w Delhi wywarła bardzo duży wpływ pozycja szeroki rzesz społecznych Indii. Fakt, że w Chinach zadano miazdzący cios kolonializmowi, nie uszedł u wagi społeczeństwa indyjskiego. Tak samo nie uszedł uwagi tego społeczeństwa również znamieny fakt, że dopiero po obaleniu przedstawicieli kolonializmu i imperializmu amerykańskiego, rządu Czang-Kaiszeka, przeprowadzono w Chinach gruntowną reformę rolną i przystąpiono do uprzemysłowienia kraju. Rząd indyjski wyrażając realistyczne pozycje burżuazji Indii i uwzględniając nacisk doloowych mas społecznych wyciągnął odpowiednie wnioski z klęski amerykańskiej w Chinach.

Następną klęską pozycjom USA w Azji i Afryce zadali lotnicy amerykańscy z tak niestrudzoną energią i bezwzględnością bombardujący wsie i miasta koreańskie — miasta azjatyckie. Wbrew wszelkim

wysilkom propagandy waszyngtońskiej żadne z papstw kontyentu azjatyckiego poza Sjamem i Turcją nie wysłało swoich wojsk na front koreański. Interwencja amerykańska w Korei mimo flagi ONZ potraktowana została w Azji jako interwencja imperialistyczna przeciw narodowi azjatyckiemu. I charakterystyczne jest dlatego, że na konferencji genewskiej, konferencji poświęconej zagadnieniom tak bardzo azjatyckim jak Korea i Indochiny można spotkać przedstawiciela Abisynii czy też Kolumbii ale nie ma tam przedstawicieli najbliższych sąsiadów Chin — Indii, Birmy lub Indonezji.

Jednym z celów kampanii koreańskiej postawionych przez Waszyngton było zmobilizowanie pomocy państw azjatyckich przeciw Korei Północnej i Chinom Ludowym. Rezultatem zaś kampanii koreańskiej były deklaracje rządów Indii, Indonezji, Birmy, że przeciwne są tworzeniu bloków wojskowych i że państwa azjatyckie nie powinny brać udziału w realizacji wojskowych planów amerykańskich. Wbrew Stanom Zjednoczonym rząd wspomnianych krajów tak zresztą jak i inne kraje azjatyckie (np. Cejlon), dążą do utrzymania stosunków przyjaznych z Chinami Ludowymi, do zacieśnienia stosunków gospodarczych z całym obozem krajów socjalistycznych.

Niemniej niepokojącym Amerykanów objawem było zacieśnienie stosunków kulturalnych między krajami azjatyckimi a Związkiem Radzieckim. Cięższe są dużym powodzeniem wystawy radzieckie i wizyty naukowców i artystów radzieckich w takich krajach jak Indie czy Iran są przejawem atmosfery panującej obecnie w tej części Azji, w której wyraz istimar ma jeszcze tak żywe i bolesne bliskie znaczenie. Rzecz jasna, Waszyngton nie pozostaje bezczynny wobec groźnej dla niego sytuacji w Azji i stara się wszelkimi siłami odwrócić bieg wypadków na tym kontynencie. Liczy przy tym na koła rządzące w tych krajach azjatyckich, które mają tak słabe pozycje, że zdecydowane są nawet kosztem skompromitowania się jawną kolaboracją z imperializmem uzyskać pomoc zewnętrzną. Jak dotychczas usiłowania amerykańskie zakończyły się pewnym sukcesem w Pakistanie. Rząd pakistański jest jak wiadomo rządem państwa składającego się z dwóch krajów oddzielonych od siebie o 1300 kilometrów a niczym z sobą nie związanych poza wspólną religią muzułmańską. Gdy na początku bieżącego stulecia Anglicy spróbowali rozbić jednolity naródow Bengali, na część muzułmańską i hinduską wybuchł tam ogólny strajk ludności, który przekroślił plany angielskie. Dopiero po prawie 50 latach judzenia Bengalczyków muzułmańskich przeciw Bengalczykom hinduskim udało się doprowadzić do rozbitcia jednolitego narodu bengalskiego i utworzenia Pakistanu ze wschodnim Bengalem jako jego prowincji.

Po kilku latach jednak muzułmańscy Bengalczycy wytrzęźwili z czadu agitację wyznaniową i wysunęli znowu hasła separatystyczne w stosunku do rządu pakistańskiego. Nie pomogły rządowi w Karaczi układy wojskowy z Turcją i dostawy wojskowe z USA. W wyborach do zgromadzenia ustawodawczego wschodniego Bengalu drugoścą klęskę poniosło rządzące dotychczas stronnictwo „Ligi Muzułmańskiej” a zwyciężyły opozycyjne partie tzw. zjednoczonego frontu występującego za polityczną i kultu-

ralną autonomią Bengalu i przeciw układowi wojskowemu z USA.

Tak więc w chwili obecnej na wadze politycznej Azji szala strata USA wyraźnie przeważa nad szalą ich sukcesów politycznych. Waszyngton zdołał w ciągu lat powojennych przejąć na swoje konto wszystkie pozycje obciążające w oczach narodów Azji i Afryki północnej kolonializm — politykę istimar. Nic dziwnego, że układ wojskowy między Pakistanem a Turcją — członkiem paktu atlantyckiego spotkał się z potępieniem większości państw azjatyckich i afrykańskiego Egiptu. Prasa tych wszystkich państw bez ogródek twierdzi, że podobnego rodzaju paktu są niczym innym, jak wysługiwaniem się istimaru.

W niektórych tych krajach jak np. w Indiach, działają silne partie komunistyczne. W niektórych z nich ruch komunistyczny jest słaby. Wszędzie jednak okazało się w roku 1954, że głos komunistów, którzy nieustannie twierdzili i udowadniali, że istimar jest równie brytyjski jak amerykański i że imperializm amerykański nie jest lepszy od brytyjskiego, mieli rację. Ten fakt nie jest bez znaczenia dla dalszego rozwoju sytuacji w Azji, dla uaktywnienia mas społecznych w życiu politycznym tych krajów. Jesteśmy świadkami sytuacji, gdy w prasie burżuazyjnej takich krajów jak Egipt czy Indie znajdujemy artykuły pełne sympatii dla narodów Wietnamu walczących przeciw kolonializmowi. Jesteśmy świadkami sytuacji, gdy ludie odmawiają samolotom amerykańskim przewożącym żołnierzy francuskich do Wietnamu prawa zatrzymania się na lotniskach indyjskich.

Krótko mówiąc, jesteśmy świadkami sytuacji, w której polityka USA traktowana jest w większości krajów Azji nawet przez sferę burżuazyjną jako polityka wroga kontynentowi azjatyckiemu i jego podstawowym interesom. Fakt ten ma doniosłe znaczenie polityczne. Jako że wytrąca z rąk amerykańskich możliwość wykorzystania jednych ludów azjatyckich przeciw drugim. Fakt ten spowodował, że takie kraje jak Indonezja czy Indie lub Birma odmawiają udziału w projektowanym przez Stany Zjednoczone odpowiedniku sojuszu atlantyckiego, antychińskiego i antyradzieckiego bloku krajów Dalekiego Wschodu.

W pojęciu bowiem społeczeństw azjatyckich amerykańskie plany polityczno-strategiczne wiążą się zdecydowanie z planami przywrócenia i ugruntowania starych tradycji istimaru na nowych podstawach amerykańskich. Planu amerykańskie to ugruntowanie pozycji niższości Azjatów i ich zafocania społeczno-kulturalnego — tak widzą to w biednych dzielnicach miejskich Delhi i Kairu i tak muszą to widzieć w luksusowych przedmiotach tych miast ci nawet, którzy chcieliby na to zamknąć oczy. Obok bowiem znienawidzonego słowa istimar powszechny jest na przestrzeniach od cieśniny Gibraltarskiej do Himalajów wspólna dla Marokańczyków i Egipcjan, Syryjczyków i Kurdów. Persów i mówiących językiem Urdu i Hindi obywateli Indii czy Pakistanu słowo istiskal — niepodległość. Idea zaś istiskalu zapewnia Chinom Ludowym, Korei Ludowej i Wietnamowi oraz całemu obozowi socjalistycznemu solidarność setek milionów ludzi znających cenę i wartość zarówno niewoli jak i wymarzonej wolności.

Edmund Bora

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Rozmowa w wiele oczu

Dziwne są koleje naszych dyskusji filmowych. Na przykład dyskusa o „Piątce z ulicy Barskiej”, zaczęła się w kinie, a następnie skupiła się na osobie, nie będącej ani twórcą, ani nawet współtwórcą tego filmu, lecz krytykiem. Chcąc wyrażać tę jedną z najbardziej ostatnio zagmatwanych polemik w naszej krytyce filmowej postanowiłem odwiedzić kolegę Kulużyńskiego.

KALUŻYŃSKI. W ciągu dziesięcioletniej kariery dziennikarskiej nie zdarzyło mi się być tak głośnym jak obecnie. W „Stannardzie Młodych” wydrukowano moje nazwisko czołkami o rozmiarach jakich doczekam się już tylko na klepsydrze: „ODPOWIEDZ KALUŻYŃSKIEMU”. Czasem łapię się na urażeniu, że idzie o jakiegoś innego „Kalużyńskiego” (Kalużyńskiego jest jak psów, mawiano w Lublinie). „Wytrącić zbrodnicę piro z ręki Kalużyńskiego” („Trybuna Mazowiecka”), Młodzież polska rzuca w twarz Kalużyńskiego potężne: Nie! („Standar Młodych”), „Film” określił mnie jako „Łozuza krytycznego” (przez duże Ł, muszę przyznać, że w licznych listach nadesłanych do „Nowej Kultury”, napiętnowany zostałem jako chuligan, lewak, szkodnik narodowy oraz „cynik o wyschlum sercu” (niezdolny zrozumieć miłości Kazka i Hanki).

TOEPLITZ. Dobry żart tylna wart. Czy jednak nie zastanawiałeś się w chwilach wolnych od kompletowania wyników gazetowych jakie są przyczyny tego zjawiska? Czy z artykułów prasowych, jak i listów nie płyną wnioski dotyczące zarówno twojej wypowiedzi, jak i rzeczy najzuważniejszej, a w sprawie tym „przypadkiem zapomnianej”: samego filmu?

KALUŻYŃSKI. Właśnie; sądzę, że kilka kilo papieru, zamazanego na czarno, jakie skompletowałem z tej okazji, nie przedstawia wartości intelektualnej, natomiast reprezentuje potężne wyładowanie emocji. Przypomina się „Kącik wielbieli” w przedwojennym brukowym „Kinie”, gdzie niejaka „Symplijcia Prawdziej” (postać jkcyjna stworzona przez chytrego redaktora) znieważa gwiazdy filmowe: „Ramon Novarro powinien się nazywać Ramol, bo imię takie lepiej pasuje do tego grubasika o głupim spojrzeniu” — na co nadechodzą dostownie tyśkie listów: „Wara od naszego ukochanego Ramonka!” „Sama jesteś garbata, więc Ramon by na Ciebie nie spojrział!” „Kwaczusia, Dziudziutek i Chłupasek z Radomą rzucają Kalużyńskiemu — przepraszam! — Symplijci Prawdziej — potężne NIE!”

TOEPLITZ. Stop! Rozmachaleś się tak z tymi kopniakami, że muszę cię złapać za nogę. Istnieje przecież, obok podobieństwa, zasada różnica pomiędzy przygrydą twoją i Symplijci Prawdziej. Bój o Ramona Novarro, będąc świadectwem niesłychanej popularności kina, odbywał się jednak na myślowym i ideowym bezludziu. Nie chodziło w nim o nic. W sporze o „Piątkę” wyraźnie o coś chodzi, mianowicie o ocenę filmu nie w abstrakcji, ale w konkretnej sytuacji naszej kultury. Czytelnicy zaatakowali cię, słusznie zaatakowali, że nie widzisz, iż przed „Piątką” była „Gromada” i „Przygoda na Mariensztacie”, że krzyczysz wielkim głosem: „klęska” tam, gdzie trzeba mówić: „osiągnięcie”.

KALUŻYŃSKI. Zaraz, zaraz! Czytelnicy nie zaatakowali mnie za brak proporcji: że po kiepskich filmach zdarzył się lepszy, a ja wydziałem, tylko za czelność jaką okazałem „rzucając się” na „Piątkę”, i wygłoszenie na „Piątkę”: nie widzę u nich tej dbałości o stopniowe dojrzewanie naszego filmu, które ty, krytyk zawodowy, im przypisujesz.

Pamiętaj, że ogromna większość dyskutantów, to zapalczywa młodzież.

Wystąpienia fej nacechowane są sportowym zacietrzewieniem: ludzkość dzieli się na dwa obozy, „przeciwników” i „zwolenników”, „Piątkę”, „Zwolennicy” oświadczają mi z triumfem, że film dostał nagrodę w Cannes. Powiadam im na to, że w Paryżu reklamuje się filmy wywieszka na afiszu: „Nieodznaczony żadną nagrodą w Cannes!” W ten sposób dyskusja degeneruje, zmienia się w partię ping-ponga, w kłótnię, — zamiast poważnej analizy, co „Piątkę” nie dostaje, by była tak świetnym filmem o młodzieży, jak „Bezprizorni”, „Dzieci ulicy” de Sici, „Los olvidados” Bunuela, czy choćby przedwojenny film amerykański „Miasto chłopców”.

TOEPLITZ. Jako publicysta, powinienes umieć czytać listy czytelników. Ja również otrzymuję listy, w których piszą mi, że m grufoman, łobuz itd. Czytelnik nie często potrafi klarownie wyłożyć swoją myśl. Zadaniem naszym jest nauczyć się ją rozszyfrować. Co ja wycyślałem z listów o „Piątkę”?

Młodzież poczuła, że w tym filmie szuka się prawdy życia. Na pewno jeszcze niedarł, ale przecież został podjęty jakiś trudny problem z którym chciał zmierzyć się twórca. Masz rację, że niesmaczną jest narodowa „jeta” z okazji fil-

mu Forda. Sam zgadzam się z twoimi spostrzeżeniami odnośnie stylizacji, „matowej szuby”, dzielęcej jeszcze w tym filmie obiektywo od rzeczywistości. Większość jednak głosów czytelników, to nie wypowiedzi „słuszników”, ale własnie ludzi, którzy jak np. kurator sądowy Zbigniew Wroblewski, chcą więcej prawdy, niż wyraził Ford.

KALUŻYŃSKI. Masz rację — głos kuratora Wroblewskiego powinien być — i zapewne będzie — opublikowany w „Nowej Kulturze”. Wróćmy jednak do poruszanej przez ciebie sprawy: idzie o ocenę filmu nie w abstrakcji, ale w konkretnej sytuacji naszej kultury: pamiętać trzeba że przed „Piątką” była „Gromada” i „Przygoda na Mariensztacie”, — nie trzeba więc wołać: klęska, ale „osiągnięcie!” Ośmielę się zauważyć, że cała moja wypowiedź była w służbie osiągnięcia lepszego niż „Piątką”, osiągnięcia, którego się domagałem. A jaka była reakcja w prasie?

TOEPLITZ. Nie dobra! Zamiast zastanowić się raz jeszcze nad filmem, wzięto pod pióro osobę krytyka. Jesteś co prawda młodzieńcem interesującym, ale nie najzuważniejszym w tej aferze. W artykułach wyczuwało się ton osobistej obrzydli — że to niby uszczyszcmy tak ładnie napisali, a Kalużyński nie umie się zachować w towarzysztwie.

KALUŻYŃSKI. Rzeczywiście, wystąpienia prasowe nie wydają się jasne. Przy czytaniu tekstu krytycznego powinniśmy potrafić odpowiedzieć na pytanie, o co walczą recenzent. Jeśli idzie o mój artykuł, — tak mi się zdaje — po odrzuceniu ewentualnych motywów psychologicznych, jako to mój złośliwy charakter, zemsta impolenta, Schadenfreude (tak pisze Piażewski) etc., — można było określić cel mego wystąpienia, jako pretensję, żeby filmy polskie były jeszcze lepsze, żeby dorosły do rangi arcydzieła. O co natomiast idzie Piażewskiemu, gdy zbija po kolei moje — jak twierdzi „129 przeczepek”, — pewniak na końcu, że sam mógłby wysunąć tyleż samo innych, zupełnie nowych? Albo o co chodzi Z. L. z „Dziś i Jutro”, który w 10 punktach wyrzuca mi, że Kalużyński nie dowiódł, Kalużyński maniak, Kalużyński to i tamto? Jeżeli mnie chodzi o lepszy poziom filmu, to podobnym krytykom — uniósłując automatycznie — chodźcie może o gorszy. Nie powinniśmy więc się zacietrzewiać, — ja chętnie w kinie „Śląsk”, wraz z 2.000 widzów warszawiaków, którzy lubią kino, będę oglądał „Złotego rowerów”, „Burzę nad Azją”, oraz „Pancernika Pationikina”, i nic nie mam przeciwko temu, żeby Z. L. i inni w ciasnej sali specjalnej w CUK-u na Pulańskiej zachowywali się „Gromada”, „Pomada”, „Szufada”, „Areną nudziarzy”, „Batadonem zaspasynek” i innymi perłami szmiry polskiej i międzynarodowej.

TOEPLITZ. O rety, na co mi przyszło! Oto zmuszony jestem reprezentować w naszej rozmowie (nie ubliżając) tzw. głos rozsądku. Myślę, że czas już, aby na spokojnie, pamięlając o tym, że mówimy nie w cztery ale w wiele oczu, odpowiedzieć sobie na pytanie: jak jest wreszcie z tą „Piątką” (Kalużyński wykonuje gest wskazujący, że znów chce mówić). Zaraz, pozwól, że ja powiem. Oczywiście obaj zasadnicze swoje stanowisko wyłożyliśmy w artykułach, ale pewne rzeczy należy uściślić. Sądzę, że trzeba wyjaśnić, że obu nam chodzi o to, by film był jeszcze lepszy. Różni nas jednak metody: ja stosuję system cierpliwej akuszerki, ty zaś kopiesz dziecko o łonie matki „aby było zdrowsze”.

Druga sprawa: Żałuję, że nie byłem — i ty także — na dyskusji w Związku Dziennikarzy, ale zaproszenie nie dotarło ani do ciebie ani do mnie. Miałem jednak niedawno spotkanie z czytelnikami. Większość z nich zarzucała „Piątkę” że nie doprowadza się tam do końca problemu wny i kary. O tym też pisałem w ciekawym artykule Stanisława Grzelekiego w Nr. 15 „Filmu”. Istotnie, mimo że nie kładłem na to szczególnego nacisku w recenzji, czuję się tu unik ze strony reżysera. Twoje uwagi słusznie wskazują, że Ford miał być nauczyciel, ale filmów wstłanych niż np. reżyser „Celulozy”. To są korzyści, jakie ja wyciągnąłem z dyskusji. Chciałbym żebyś i ty jakieś wyciągnął!

KALUŻYŃSKI. Założmy lepiej że jestem stracony, tym więcej że dołożyłeś mi jeszcze jeden epitet mordercy embrionów. Ważniejsze jest, żeby opinia zyskała na tej dyskusji. Otóż myślę, że wszystkie głosy, bez względu na ich zacietrzewienie, poziom argumentów, nawet błąkanie się myślowe, wyrażają przeciw wielką społeczną potrzebę dobrego filmu o naszym życiu codziennym.

TOEPLITZ. I z tą potrzebą krytyki musi się borykać Czy nie tak? (Tu obydwoj wzdychają głęboko, i ścisnawszy sobie dłonie rozchodzą się na kolację).

Warmijskie rozmowy

(Dokończenie ze str. 3)

Jeszcze ciągle patrzyłam na ścieżkę wiodącą do wsi, zagubioną w mroku, w szaleście spadłego listowia, jeszcze ciągle nie docierały do mojej świadomości słowa rzucone pospiesznie, jakby w lęku, że się nie da wszystkich wypowiedzieć.

— Jesienią czterdziestego czwartego uciekłem z drutów. Do partyzantów poszedłem. W góry. Były to sprawy znajome, zaczęłam na nich skupiać uwagę. Lampy w świetlicy pogasły, zrobiło się bardzo ciemno. Głos niewidomego mężczyzny mówił dalej gorąco i z przejęciem:

— Nie miałem nikogo na świecie. Mój ojciec nie żył. Ja z Krakowa. Właściwie nawet spod Krakowa. Tam ojciec robił. I zabił. Pierwszego maja. W trzydziestym czwartym. Pamiętam dobrze, choć miałem dopiero siedem lat.

Zamilkł na chwilę. Jego skape słowa zmuszały do wypełniania treści cały odcinek życia. Widocznie wierzył, że to co mówi powinno być zrozumiałe. Patrzyłam na niebo ciemnogranatowe, przyciągające oczy nieustannym pelganiem gwiazd. Myślałam o tym, jak wielu spotyka się ludzi, którzy właściwie są bardzo bliscy.

— Matka wróciła z nami pod Kraków — zaczął znowu — ale Tadek, mój najstarszy brat, siedemnaścieletni, nie usłuchał matki. Powiedział, że takie życie, to lepiej nie żyć. I poszedł precz. Słuch o nim zaginął.

Oczy oswoiły się z ciemnością. Widziałam rarys głowy i włosy spadające na szerokie czoło. Dłoń duża jak szufelka zmięła trzymana przed piersiami czapkę, zacisnęła ją.

— Przyszła wojna. Wzieli mnie do Oświęcimia za to, że gwizdałem

raz wieźdorem na Plantach „Jeszcze Polska”. Nie zdążyłem zwać. Złapał. Szczeniak jeszcze byłem. Dużo ja tam wiedziałem wtedy, co to faszyzm, co to Hitler.

— A kiedy pan trafił tu na Warmię? — zapylałam przyjaźnie, jak zwykłam pytać ludzi, których jednym pragnieniem zdaje się być chęć wypowiedzenia drugim zawiłego przebiegu życia.

Mężczyzna przechylił głowę i teraz poznałam, że to ten sam, co przez cały wieczór chłonał każde słowo. Na jego inteligentnej twarzy w miarę mówienia jawił się gorzki uśmiech.

— Ot, właśnie... Przydzielono mnie do jednostki stacjonującej w Chrabolach. Białostocki pułk. Regularne wojsko. Tam komendantem był jak mówili Fadię Antonow. Prosto z Dywizji Kościuszkowskiej znał Oki. Naszemu kapralowi się bardzo nie podobało. „Jakis Ruśsek — powiada — będzie tu nami rządzili”. Ale inni tak nie myśleli. Bo szedł słuch, że kapitan sprawiedliwy chłop. swojski. Nie znalazłem jeszcze, ale w pułku to się wszystkim wie.

Umilkł, odwrócił głowę i przez długą chwilę patrzył w stronę skąd dochodził nieustanny szum obok jezior. Kiedy się znowu odezwał, zdawało się, że głos mu zachrypł.

— Zobaczyć go pierwszy raz w tym dniu, kiedy nas wezwął do Białegostoku; słyszało się, że mamy wyruszyć na Berlin. I zaraz mnie coś tknęło jak tylko do nas przemówił. Przez całą noc oka nie przemyrzałem, a rano myślałem było, głowę mi przecież nie każe uciąć”. I idę. Trochę się bałem. Bo skąd ja, prosty szeregowiec, siedemnastoletni ofera, do kapitana,

Seweryna Szmaglewska

WSTĘP

— Dawne sprawy! — mówią Ateńczycy Timajos, Teofrast i Lykon.

— Dawne sprawy! — wzdycha Voltaire.

— Dawne? — oponuje czytelnik.
— Chyba niezupełnie.

Jan Lenica podtrzymuje tę wątpliwość, rysując bohaterów Teofrasta i Voltaire'a jako postacie znane nam nie tylko z lektury starych tekstów. Oto pierwsza z nich:

Osoba, którą widzimy na załączonym obok obrazku jest to itymaduleta Medii, Irax. Poznaliśmy go w powieści wschodniej Voltaire'a: „Zadig czyli los”. Oczywiście, nie ma wśród nas człowieka obdarzo-



nego godnością itymadulety. A jednak nie wahamy się opatrzyć cytowanego niżej fragmentu tytułem:

DYGNITARSTWO

„Zanoszono do dworu skargi na itymaduleta Medii, imieniem Irax. Był to wielki pan, nienajgorszy z natury, ale zepsuty próżnością i rozkoszą. Rzadko cierpiał, aby ktoś doń mówił, a nigdy, aby mu się sprzeciwił. Paw nie jest bardziej próżny, gołąb bardziej lubieżny, żółw bardziej leniwy od niego; był jedynie fałszywą chlubą i fałszywymi rozkoszami. Zadig postanowił go poprawić. Posłał mu, imieniem króla, kapelmistrza z tuzinem śpiewaków i dwoma tuzinami grajków, marszałka dworu z sześcioma kucharzami i czterema szambelanami, z poleceniem, aby go nie opuszczali na krok. Rozkaz króla określał ściśle porządek etykiety, jaką miano zachować; a oto jej obraz:

Pierwszego dnia, gdy pogrążony w rozkoszach Irax się obudził wszedł wchwalając na czele śpiewaków i grajków. Wykonano kantatę, która trwała dwie godziny, co trzy minuty zaś powtarzała się następująca przyspiewka:

Cóż za wdzięk, co za prezencja!
Ileż uroków posiada!
Ach, jak Jego Ekscelencja
Musi być ze siebie rada!

Po kantacie szambelan wygłaszał przemowę trwającą trzy kwadranse, w której wchwalał go pilnie za wszystkie zalety, których mu właśnie zbywało. Następnie, przy dźwięku instrumentów, prowadzono Iraxa do stołu. Obiad trwał trzy godziny. Z chwilą, gdy otwierał usta, aby przemówić, pierwszy szambelan oznajmiał: — Będzie miał słusność.

Ledwie wymówił słowo, drugi szambelan wołał: — Ma słusność! Dwaj inni szambelanowie wybuchali głośnym śmiechem przy dowcipach, które Irax powiedział lub zamierzał powiedzieć. Po obiedzie powtórzono kantatę.

Pierwszy dzień wydał się Iraxowi rozkoszny; rozumiał, że król królów uczcił go wreszcie wedle zasługi. Drugi wydał mu się mniej przyjemny, trzeci nużący, czwarty nie do zniesienia, piąty był męką wreszcie znękanym ciągłym słuchaniem śpiewu:

Ach, jak Jego Ekscelencja
Musi być ze siebie rada!

ciągłym powtarzaniem, że ma słusność, i oracją, jaką go raczono co dzień o tej samej porze, napisał do króla błagając, żeby raczył odwołać szambelanów, grajków, ochemistrzów; przyrzekł być odtąd mniej próżny i nadęty; mniej dawał sobie kadzić, żył z mniejszą pompą, a był szczęśliwszy, ile że jak powiada Sadder, ciągle przyjemność przestaje być przyjemnością.



dzisz! Nie byłem z tobą przez dwa dni i masz brodę pełną siwych włosów, choć jak nikt inny na swój wiek masz czarne włosy!

*) Teksty Teofrasta pochodzą ze znowienia, które ukazało się w roku 1930, w „Bibliotece Meandru” (przełożył i opracował Mieczysław Brozek).

Pochwała Teofrasta

WYJAZD W TEREN

A oto fragment, który wyszedł spod ręki ateńczyka Timajosa (350—254 przed naszą erą). Jak to widzimy na umieszczonym obok rysunku, i tutaj sprawa identyfikacji bohatera nie następuje nam-trudności. „Pewien Sybaryta — pisze Timajos — wybrał się raz na wieś. Kiedy tam zobaczył robotników okupujących ziemię, już z samego przypatrywania się zachorował na przepuklinę. Gdy to drugiemu opowiedział, rzekł tenże: „A mnie od samego przysłuchiwania się zakuliło w boku”.



Z trzydziestu portretów zamieszczonych w „Charakterach” Teofrasta, liczących sobie dzisiaj 2300 lat, wybieramy niektóre tylko. Oto one:

WAZELINIARZ

U Teofrasta wazeliniarz występuje pod nazwą pochlebcy; wazeliniarstwo — pod nazwą pochlebstwa:

„Pochlebstwo (kolakeia) — można by przyjąć — jest to zachowywanie się względem drugich w sposób nieprzyzwoity, ale korzystny dla tego, kto pochlebia.

„Pochlebca zaś to tego rodzaju człowiek, że towarzysząc w drodze drugiemu mówi do niego: — Widzisz, jak wszyscy patrzą na ciebie z podziwem? To się nikomu z ludzi w tym mieście nie zdarza prócz ciebie! Mówiono wczoraj z uznaniem o tobie w portyku. — I dalej: że siedziało ich tam na ławach ponad trzydziestu ludzi, a kiedy mowa zeszła na to, kto w mieście jest najczyniejszy, on pierwszy, za nim zaś wszyscy jednogłośnie wpadli na jego imię! I przy tych słowach zdejmując zarazem nitkę z jego płaszczka, a jeżeli mu przypadkiem spadnie na brodę niesione wiatrem źdźbło, usuwa tę słomkę i żartuje z uśmiechem: — No, wi-



przysiadła się do niego, wygłasza najpierw pochwałę swojej żony, potem opowiada szczegółowo, co mu się w nocy śniło, następnie przechodzi po kolei wszystkich, co miał na obiad. I dalej... opowiada ile jest kolumn w Odejonie, a że wczoraj miał wymioty, a co to mamy dzisiaj za dzień, a jeszcze, że misteria obchodzi się w miesiącu boedromionie... a wiejskie Dionizja w posiadanie. I tak, jeżeliby go ktoś cierpliwie słuchał, nie dalby mu spokoju.

„Przed takimi nudziarzami trzeba doprawdy uciekać co tylko sił w nogach, jeżeli chce się uniknąć gorączki! Trudno bowiem wytrzymać z ludźmi, którzy nie zważają na czas ani twój wypoczniku ani twojej pracy”

WODOLEJ I WODOLEJSTWO

Występują u Teofrasta pod nazwami: „gadatliwość” i „człowiek gadatliwy”.

„Gadatliwość (lalia) — jeśliby ją ktoś chciał zdefiniować — mógłby to być, jak się zdaje, brak powściągliwości w słowie.

„Człowiek zaś gadatliwy to ktoś taki, który gdy spotka się z kimś a ten z cokolwiek do niego się odezwie, wpada mu w słowa, że nie mówi nic nowego, że on właśnie wszystko w tej sprawie wie i jeżeli tylko tamten zechce posłuchać, to się wszystkiego dowie.

„A gdy tak z tymi w pojedynkę się rozprawi, rusza dzielnie przeciw stojącym razem w jednej grupie i zmusza ich do ucieczki w połowie narady. Wchodzi do szkół i na place gimnastyczne, przeszkadzając tam dzieciom w nauce; tyle ma do opo-

wiadania prowadzącym gimnastykę i nauczycielom!

„A gdy ktoś wymawia się, że już musi odchodzić, on się ofiaruje mu do towarzystwa i odprowadza go do samego domu.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozmowy albo drzemią lub też odchodzą, opuszczając go w środku tych wywodów”.

„Tym, co, go, pyłają, co, było na zebraniu, referuje sprawy, ale przy tym opowiada zarazem o pojedynku mówców, który się swego czasu za Arystofonta rozegrał, i... jakie kiedyś sam wygłosił przemówienia, które znalazły wielki poklask u ludu. Do opowiadania tego wplata równocześnie ekskurs o tym, jak wystąpił raz przeciw ogółowi, a skutek jest taki, że słuchający tracą watek rozm